

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI

NR 294

RUCH ODNOWY
† SŁOWIAN †

1 VIII 2012 R.

NOWY JORK, CHICAGO, TORONTO, BERLIN, WARSZAWA.

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI W INTERNECIE: www.wicipolskie.org

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy!

W naszym biuletynie zamieszczamy teksty różnych autorów, tak „z pierwszej ręki” jak i przedruki, traktujące o najistotniejszych problemach Polski i Świata. Kluczem doboru publikowanych treści, nie jest zgodność poglądów Autorów publikacji z poglądami redakcji lecz decyduje imperatyw ważnością tematu. Poglądy prezentowane przez Autorów tekstów, nie zawsze podzielamy. Uznając jednak że wszelka wymiana poglądów i wiedzy, jest pożyteczna dla życia publicznego - prezentujemy nawet kontrowersyjne opinie, pozostawiając naszym czytelnikom ich osąd.

Redakcja

Adres kontaktowy Redakcji PRP: PO Box 1602, Cranford NJ 07016 i internetowy: turobin@netzero.net

1) Wiadomości; 2) Więźniów KL Polen droga pod prysznic – czyli na przymusowe szczepienia; 3) Co nam szkodzi – tłuszcz czy węglowodany; 4) Śledztwo pod specjalnym nadzorem; 5) Wokół berlińskiego kongresu; 6) Igranie z chmurami na polskim niebie; 7) Wyrzucą nas z mieszkań i domów; 6) Elity III RP – III; 7) Polską rządzi konsorcjum służb specjalnych różnych państw; 8) Czy zabiorą nam Śląsk; 9) Centralizacja władzy globalnej; 10) Od Dżamahiriji do Azawadu; 11) Masoneria a Rozbiory Polski – I;

Kremłowscy okupanci pospiesznie zapewniają sobie pomoc interwentów



Przeładunki tranzytowe natowskich ładunków przez bazę NATO w Ulianowsku mogą rozpocząć się już od 1 sierpnia - Moskwa, 9 lipca - RIA Novosti.

Tranzyt cywilnych ładunków dla międzynarodowego kontyngentu NATO w Afganistanie - przez terytorium Federacji Rosyjskiej może rozpocząć się w sierpniu 2012 roku, pisze poniedziałkowe [07.09.2012] wydanie gazety „Kommiersant”, powołując się na przedstawiciela Rosji przy NATO, Nikołaja Korczunowa: *strony pokładają nadzieję na rozpoczęcie nowego programu od 1 sierpnia* - przekazuje gazeta jego słowa.

„Do tego czasu przeprowadzimy prace przygotowawcze i przetestujemy system dokumentacyjny aplikacji, zezwoleń i atestów ażeby tranzyt mógł być prowadzony nieprzerwanie i był zgodny z prawem Federacji Rosyjskiej” - powiedział Korczunow.

Według jego słów, w piątek [07.06.2012] w Brukseli miała miejsce wymiana listów z przedstawicielami NATO dotycząca rozszerzenia tranzytu przez terytorium Rosji „nieśmiercionośnych” ładunków dla międzynarodowych sił w Afganistanie. Tranzyt będzie miał charakter kompleksowy włącznie z użyciem transportowych środków powietrznych, samochodowych i kolejowych. Według gazety, planuje się wykorzystanie wyłącznie cywilnych obiektów, w szczególności lotniska w Ulianowsku i certyfikowanych dróg kolejowych nadających się do międzynarodowych transportów towarowych. Do pomocy w realizacji przewozów tranzytowych będą na miejscu przedstawiciele międzynarodowych firm logistycznych.

„Żadnego cudzoziemskiego personelu wojskowego ani do przeładunków ani do ich ochrony nie będzie. W kontenerach nie będą przewożone materiały wybuchowe ani ładunki niebezpieczne” - cytuje gazeta słowa Korczunowa. Dyplomata przyznał, że zgoda Pakistanu na wznowienie tranzytu ładunków dla sił NATO w Afganistanie może wpłynąć na wielkość ładunków przez terytorium Rosji. A w tym samym czasie przypomniał, że przez Pakistan w każdym razie pójdzie tylko część ładunków. Informacja o utworzeniu punktu przeładunkowego w Ulianowsku wywołała szeroki odzew społeczny, gdzie sprzeciwiają się utworzeniu punktu - nazywając go zawsze - „bazą NATO”. Władze rosyjskie, w tym i Rogozin, wielokrotnie stwierdzały że będzie to tylko punkt przeładunkowy a nie baza wojskowa USA lub NATO. Rząd Rosji w końcu czerwca - zezwolił na korzystanie, razem z naziemnym, z powietrznego transportu ładunków przez Ulianowsk do Afganistanu i z powrotem.

Za: <http://stopsyjonizmowi.wordpress.com/2012/07/09/kremlowscy-oku-panci-pospiesznie-zapewniaja-sobie-pomoc-interwentow-2/#more-24218>

#

Niemiecki urząd zabiera dzieci

Federalny Urząd Statystyczny poinformował, że w roku 2011 niemieckie Urzędy do spraw Młodzieży tzw. Jugendamty odebrały rodzinom rekordową liczbę [38 500] nieletnich. Wraz ze wzmożoną aktywnością urzędników, nastąpił także wzrost liczby obywatelskich skarg na ich działalność. A szczególnie narażeni na niszczycielskie działanie Jugendamtu są rodzice cudzoziemców.

Jugendamty chwają się że w roku 2011 interweniowały tak często i skutecznie, że odebrały rodzicom prawa rodzicielskie aż w 38 500 wypadkach. W dwóch trzecich wypadków dzieci zostały odebrane rodzicom z ich rodzinnych domów [ponad 25 tys.], reszta to małoletni zabrani z domów dziecka lub rodzin zastępczych. Statystyki nie podają, ile z podejmowanych przez Jugendamt interwencji odbyło się z pogwałceniem prawa.

Adwokat Stefan Hambura, od wielu lat reprezentujący Polaków walczących o odzyskanie swoich dzieci, potwierdza że, praca Jugendamtów nie jest w wystarczającym stopniu kontrolowana przez instytucje państwowe, co jest ewenementem w skali wszystkich państw demokratycznych.

W rozmowie z *Gazetą Polską Codziennie* jedna z poszkodowanych przez urzędników matka, Vera Fechner stwierdziła, że urzędy te stoją poza wszelką kontrolą, pokrzywdzeni przez urzędników rodzice, niezależnie od narodowości, nie mają w starciu z nimi żadnych szans. - *W dzisiejszych czasach takie historie wydają się nieprawdopodobne, ale niestety mają miejsce. W Niemczech w każdej chwili do twoich drzwi może zapukać urzędnik Jugendamtu i oznajmić, że za chwilę zabierze ci twoje dziecko. Często wystarczy jakiś błahy powód, podejrzenie o złe wychowywanie lub niesprawdzony donos* - powiedziała nam Fechner, która wraz z kilkudziesięcioma innymi pokrzywdzonymi (także z Polski) złożyła do komisji Petycji PE zbiorową skargę - na niemieckie Jugendamty. Ostatnia petycja została wysłana wiosną tego roku. Szykowane są następne.

Europoseł Konrad Szymański przyznaje w rozmowie z „Codzienną”, że chociaż ciągle wpływają nowe petycje do PE, nie przynosi to spodziewanych rozwiązań. - *Parlament przekazuje te wszystkie petycje do Komisji Europejskiej a niestety, tam gdzieś to niknie i nic się nie dzieje* - mówi nam Szymański. I dodaje: *To pokazuje całkowitą bezradność Komisji. Europoseł przypomniał, że kwestia ta, miała być przedmiotem międzynarodowych konsultacji w zakresie mediacji transgranicznych w sprawach rodzinnych, ale także z tego nic nie wyszło.*

- *Nie mamy żadnej konstruktywnej zmiany, a Niemcy nadal, wyjątkowo skutecznie, powołują się na własne kompetencje w zakresie prawa rodzinnego i wygląda na to, że pozostaną bezkarni. Jediną nadzieją na zmianę brutalnych praktyk Jugendamtów jest to, aby sami niemieccy politycy zważyli i zrozumieli, że całkowicie niekontrolowany urząd niebezpiecznie ingeruje w więzy rodzinne* - argumentuje europoseł.

Zdaniem Mirosława Kraszewskiego ze Stowarzyszenia Polskiego Rodzice przeciw Dyskryminacji Dzieci T.Z. do statystyki Jugendamtu należy doliczyć nieznaną liczbę dzieci oddawanych przez rodziców „dobrowolnie”. Ta „dobrowolność” często jest wymuszona szantażem lub nakładaniem na rodziców niewykonalnych nakazów i zobowiązań - szczególnie łatwym łupem są dzieci rodziców cudzoziemców słabo mówiących po niemiecku i niezorientowanych w przepisach prawnych. *Niemieckie przymusowe wychowanie dzieci obcokrajowców jest jednym z elementów dzisiejszej polityki zwanej obecnie Deutsche Leitkultur - niemiecka kultura wiodąca* - mówi Kraszewski. [wychowanie globalne - red.]

Za: <http://niezalezna.pl/30835-niemiecki-urząd-zabiera-dzieci>

#

Policja może strzelać do dzieci?

Policjant nie będzie już musiał oddawać strzału ostrzegawczego, a broni palnej będzie mógł używać także wobec kobiet w widocznej ciąży i dzieci poniżej 13-go roku życia. Takiej rewolucji w zasadach używania broni palnej chce Ministerstwo Spraw Wewnętrznych - czytamy w „Dzienniku Gazecie Prawnej”.

Nowe przepisy mają zezwolić policji na strzelanie do kobiet w widocznej ciąży i dzieci poniżej 13-go roku życia.

Ministerstwo uzasadnia próbę przyznania nowych uprawnień - wyrafinowanymi i przemyślanymi działaniami organizacji terrorystycznych i grup przestępczych.

Jeżeli zmiany wejdą w życie, policjant będzie mógł strzelać do takich osób - gdy dojdzie do „zagrożenia życia lub zdrowia funkcjonariusza lub innej osoby”.

Eksperci nie potrafią znaleźć wystarczającego uzasadnienia dla zmian. Ich zdaniem w demokratycznym państwie prawa, które uznaje życie ludzkie od momentu poczęcia za wartość konstytucyjną, nie mogą być wprowadzane rozwiązania, które ułatwiają zabijanie.

Źródło: IAR [11.07.2012]

Za: <http://tvp.info/informacje/polska/policja-chce-strzelac-do-dzieci/7960691>

#

Hebrajski drugim językiem urzędowym w Polsce?

W Berlinie odbył się pierwszy kongres Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce, organizacji, która postuluje powrót do Polski trzech milionów Żydów i ustanowienie hebrajskiego drugim językiem urzędowym. Ruch powstał w ramach działalności izraelskiej artystki Yael Bartana, zaczyna jednak wykraczać w sferę realnej polityki – ustalił portal tvp.info.



Symbolem organizacji jest połączenie polskiego orła z izraelską gwiazdą Dawida (Fot. <http://www.jrmip.org>)

Reżyserka Yael Bartana nakręciła cykl trzech krótkich filmów dotyczących Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce. W pierwszej części Sławomir Sierakowski, redaktor lewicowej „Krytyki Politycznej”, przemawia do pustych trybun zdewastowanego Stadionu Dziesięciolecia i zachęca Żydów do powrotu do Polski. W drugim Żydzi przyjeżdżają do Warszawy i stawiają kibuc na terenie dawnego getta. W trzecim Sierakowski ginie w zamachu. Filmową trylogię można było zobaczyć w galeriach artystycznych na całym świecie.

Okazuje się, że artystyczna fikcja może jednak przeistoczyć się w realną działalność. Ruch Odrodzenia Żydowskiego w Polsce uruchomił swoją stronę internetową, na której można przeczytać jego postulaty. Jego członkowie chcą: by powrót Żydów do Polski był sfinansowany przez podniesienie podatków w Polsce, Senat został przekształcony w Izbę Mniejszości, żeby Polska zerwała konkordat z Watykanem. Chcą też ustanowienia hebrajskiego drugim językiem urzędowym. Symbolem organizacji jest logo, które powstało z połączenia polskiego godła z gwiazdą Dawida.

Za pośrednictwem strony internetowej można było też zgłaszać chęć udziału w pierwszym międzynarodowym kongresie organizacji. Odbył się w połowie maja, przy okazji jednej z imprez artystycznych w Berlinie.

- *Kongres był pomysłem na eksperyment demokratyczny. Chodzi o to, by ludzie się spotkali i spróbowali wymyślić inny świat* - mówi Sławomir Sierakowski, który sam w kongresie jednak nie uczestniczył. - *Spotkanie trwało trzy dni. Uczestniczyło w nim wielu intelektualistów z całego świata. Dyskutowali o Polsce, Unii Europejskiej i Izraelu* - dodaje Sierakowski.

Podczas kongresu nie podjęto żadnych działań charakterystycznych dla tworzących się organizacji. Ruch Odrodzenia Żydowskiego w Polsce nie przyjął swojego statutu, ani nie wybrał władz. Mimo to jego twórcy nie ukrywają że chcą, by artystyczna działalność przełożyła się na politykę. - *Uważamy, że nie ma sensu tworzyć sztucznej granicy pomiędzy światem sztuki i polityki. Polskie społeczeństwo jest obecnie homogeniczne, jak żadne inne w Europie. W naszym społeczeństwie jest rodzaj luki po przeszłości, którą należałoby zappełnić* - mówi Sierakowski.

Były ambasador Izraela w Polsce Szewach Weiss przyszłość stojącą przed organizacją ocenia jednak sceptycznie. - *Obiektywnie mówiąc, to jest fantazja. Co nie wyklucza faktu, że motywacja do tej fantazji może być pozytywna* - mówi portalowi tvp.info. - *Niektóre postulaty tej organizacji są dosyć zaskakujące. Przykładowo ten o nadaniu językowi*

hebrajskiemu rangi urzędowego. Przed wojną Żydzi w Polsce nie mówili przecież po hebrajsku, tylko w jidysz, a elity po polsku - zauważa.

Wiktor Ferfecki [04.07.2012]

<http://tvp.info/informacje/ludzie/hebrajski-drugim-jezykiem-urzedowym-w-polsce/7905690>

Nie ma się czemu dziwić że opinie krążące od wieków, dzisiaj nabierają zupełnie innego oddźwięku. Ciągłe tkwi w stereotypach powiedzenie o kamienicach i ulicach, a lista roszczeń Żydów wobec Polski, zdaje się nie mieć końca. Przypominam sobie liczne wystąpienia Szewacha Weissa w których od zawsze coś krytykował i był z czegoś niezadowolony. W pewnym momencie mnogość jego wystąpień i ciągły monolog, na ten sam temat zakrawał na głupawą farsę. Czy raptem dzisiaj może nastąpić zwrot? Z tym rządem to możliwe, a oni to wiedzą i z pewnością z tej okazji skorzystają.

<http://tokispress.nowyekran.pl/post/67640,biedni-uciskani-skrzywdzeni-i-butni>

#

Ron Paul: Obamacare to ograniczenie wolności

OPINIA: Kongresmeni, którzy wierzą w indywidualną wolność, muszą ciężko pracować, aby anulować reformę zdrowotną prezydenta Obamy oraz w ogóle zredukować federalną ingerencję rządu w służbę zdrowia - oświadczył W.Cz. Ron Paul, konserwatywnoliberalny kongresmen z Teksasu.

- Obamacare może tylko zwiększyć niepotrzebną ingerencję strony trzeciej w relacje pomiędzy lekarzem a pacjentem, zwiększyć koszty takiej opieki, oraz zmniejszyć jej jakość - stwierdził Ron Paul.

- Tylko wolnorynkowe rozwiązania w służbie zdrowia mogą odbudować kluczową niezależność lekarzy, zmniejszyć koszty przez powrót konkurencyjności oraz zlikwidować tam olbrzymią robotę papierkową. Amerykanie zrezygnują z Obamacare z pomocą Kongresu a nawet bez pomocy, i co ważne - dzisiaj można stworzyć prawne warunki, które im na to pozwolą - podsumował kongresmen.

Opracował: Jarosław Wójtowicz [5 lipca 2012]

Źródło: www.ronpaul.com

Za: http://korwin-mikke.pl/ameryka_polnocna/zobacz/ron_paul_obamacare_to_ograniczenie_wolnosci/61508

WIĘZNIÓW KL POLEN DROGA POD PRYSZNIC - CZYLI NA PRZYMUSOWE SZCZEPIENIA

Wprowadzenie do tematu i pod prysznic z gazem

Kiedyś przechodziły grubsze ozustwa. Najpierw trzymało się rzesze więźniów w brudzie tak długo aż zaległy się wszy - a potem prowadziło na zbiorowy prysznic niby przez pomyłkę puszczając trujący gaz zamiast wody.



Drugi raz ten numer nie przejdzie, a więc jest nowy. Bardzo podobny, ale inny. Tworzy się problem, proponuje rozwiązanie, ale bardziej ostateczne niż wynika ze zmyłkowych zapewnień. Tym razem, idąc z duchem miniaturyzacji i modernizacji, naturalne wszy zastąpiono mikrobami wyhodowanymi w laboratoriach, dysze pryszniców - strzykawkami, a trujący gaz - toksynami lub żywymi mikrobami w szczepionkach. Postęp ten gołym okiem widoczny nie jest, wszak żyjemy w czasach wspomnianej już miniaturyzacji.

Jest jeszcze jedna różnica w dawnym i obecnym sposobie na uleczenie Ziemi z nadmiaru ludzi. Wtedy pod prysznic pod karabinami prowadzili zwykle żołnierze obcego państwa - teraz poprowadzić mogą krajowi policjanci.

Jakim prawem?

Prawem silniejszego, cwańszego, parlamentu cichcem zmieniającego prawo o szczepieniach. Dokładnie chodzi o druk nr 293 sejmiku VII kadencji zawierający propozycję zmiany ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi. Projekt do parlamentu pismem z 29 marca 2012 r. wniósł w imieniu rządu prezes rady ministrów Donald Tusk. 15 czerwca 2012 roku [gdy polskie społeczeństwo było zahipnotyzowane piłkarskimi rozgrywkami] sejm projekt przyjął i przekazał do senatu. W głosowaniu sejmowym uczestniczyło 403 posłów oraz posłanek. Tylko Marek Sawicki z PSL był przeciw, reszta głosujących była za zmianą ustawy. Jakże to znamienne, że Platforma Obywatelska, Prawo i Sprawiedliwość, Ruch Palikota, Polskie Stronnictwo Ludowe, Sojusz Lewicy Demokratycznej, Solidarna Polska konkurując o stołki niby ze sobą walczą, ale potem cichcem wspólnie zmieniają prawo ze szkodą dla społeczeństwa. Jakąż jednogłośnie immunitetowców przeciw krnąbrnej nieuprzywilejowanej większości...

Ustawa z 15 czerwca 2012 r. zmieniająca prawo o chorobach zakaźnych zasługuje na szczegółowe rozeznanie społeczników i nagłośnienie niebezpieczeństw z nią związanych. Już na pierwszy rzut oka widać wyraźnie dwie bardzo niepokojące zmiany:

- wprowadzenie przymusu poddawania się szczepieniom spoza Narodowego Programu Szczepień Ochronnych,
- wprowadzenie przymusu poekspozycyjnego profilaktycznego przyjmowania leków!

Co to w ogóle jest, profilaktyczne przyjmowanie leków? Medycyna zna różne rodzaje profilaktyki, od unikania zagrożeń, przez ruch, dobre odżywianie się, po zażywanie preparatów wzmacniających odporność i szczepienia. Natomiast przyjmowanie leków jest leczeniem, a nie profilaktyką. Termin "leczenie profilaktyczne" bywa używany lekkomyślnie na określenie terapii pacjentów przewlekłe chorych w celu zapobiegania pogłębieniu skutków choroby, jednakże nie jest to zapobieganie zachorowaniu przez zdrowego człowieka. A teraz sejm właśnie zgodził się na ustawę, która przymusi zdrowych ludzi do zgody na szprycowanie jakimiś, nie wiadomo jakimi lekami! I za czymś takim zagłosowali posłowie będący z zawodu lekarzami, w tym marszałek sejmiku Ewa Kopacz i minister zdrowia Bartosz Arłukowicz. Podobno brakuje na lekarstwa dla chorych, a oni pozwalają przymusowo aplikować jakoweś nieokreślone specyfiki - dla zdrowych!!!

Komu za to możemy podziękować?

Niektórzy opisują życie jako śmiertelną chorobę przenoszoną drogą płciową. Ale... nie każde życie, na pewno nie swoje, bliskich, dobrych znajomych i innych równiejszych. Śmiertelną chorobą planety przenoszoną drogą płciową jest ich zdaniem tylko życie plebsu, który rzekomo winien jest zanieczyszczeniu globalnemu i niszczeniu przyrody. Nic to, że to równiejsi decydują o zastępowaniu czystych i bezpiecznych technologii brudnymi, ryzykownymi i wcale nie tańszymi. Pan zawinił, poddanych się wybatoży, na śmierć... Jak będzie mniej ludzi, będzie mniej śmieci i więcej miejsca dla gatunków chronionych [zgodnie z nowym porządkiem świata]. Oczywiście zamiast pozbywać się większości bliźnich możnaby zmusić ich do życia w zgodzie z przyrodą. Jednak to oznaczałoby powrót do samowystarczalności narodów, gmin, rodzin, koniec globalizacji, osłabienie państw tzw. ponadnarodowych na rzecz narodowych i osłabienie władz krajowych na rzecz gmin oraz obywateli. To wszystko kosztować by mogło utratę przywilejów, władzy i majątków przez równiejszych. Tego nie zaryzykują.

Politykerzy w Polsce obiecywali, że podczas mistrzostw piłkarskich nie będą się zajmowali polityką. Czy skłamali ... grzebiąc po cichu w sejmie prawny tunel do ułatwienia przymusowych szczepień dla dorosłych? Przecież to nie jest polityka rozumiana jako dbałość o polis (państwo). Więc może nie skłamali ... i nie polityką się zajmują, ale kopaniem wilczych dołów, w które mają wpaść obywatele. Czy oni spiskują? Jeśli nie są tylko wykonawcami globalnych mocodawców...

Pójdziemy potulnie na śmierć?

Czy równiejsi są tacy zaślepieni, że w to wierzą? Czy wierzą, że mała garstka chciwców tak zamrocy całą ludzkość, iż ta posłuszna rozkazom wymorduje się wzajemnie? Czy mogą zaufać kapo, że ci nie obrócą służbowej broni przeciw zbrodniarzom? Czy mogą być pewni, że głupich, ślepo posłusznych oprychów będzie dość dużo, by zdławić opór społeczeństwa?

Otóż zwykli ludzie, pogardliwie zwani plebsem, pospółstwem czy bydłem, mają tą przewagę, że zawsze są w większości. W sytuacji zagrożenia, mimo wcześniejszego ogłupiania, zwodzenia i tresowania - użyją przewagi liczebnej tak, jak to czyni tłum, a w świecie zwierząt stado. Rozdepczą napastników. A ponieważ są ludźmi, nie poprzestaną na tym i zaczną szukać tych, którzy spiskowali przeciw większości. Gdy ich znajdą, nie zdążą się zlitować.

=====

- 1) Ustawa z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi <<http://isap.sejm.gov.pl/Details-Servlet?id=WDU20082341570>> - wersja aktualnie obowiązująca.
- 2) Druk nr 293 sejm VII kadencji <[http://orka.sejm.gov.pl/Druki7ka.-nsf/0/7BEE578C6AAB0E76C12579DD004EA0D4/\\$File/293.pdf](http://orka.sejm.gov.pl/Druki7ka.-nsf/0/7BEE578C6AAB0E76C12579DD004EA0D4/$File/293.pdf)>. Zawiera projekt zmiany ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi.
- 3) **Głosowanie nr 15** - posiedzenie 16, dnia 15-06-2012 - pkt 1. porz. dzien. Sprawozdanie Komisji o projekcie ustawy o zmianie ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi oraz ustawy o Państwowej Inspekcji Sanitarnej.
- 4) Przekazany przez sejm do senatu celem kontynuowania procedury prawodawczej tekst ustawy z dnia 15 czerwca 2012 r. o zmianie ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi oraz ustawy o Państwowej Inspekcji Sanitarnej - <[http://orka.sejm.gov.pl/opinie7.nsf/nazwa/293_u/\\$file/293_u.pdf](http://orka.sejm.gov.pl/opinie7.nsf/nazwa/293_u/$file/293_u.pdf)>.
- 5) Rafał Gawroński, Polityczna diaspora kne-SS-ejmu zdecydowała się na mordowanie Polaków_szczepionkami <<http://rafzen.wordpress.-com/2012/06/28/polityczna-diaspora-kne-ss-ejmu-zdecydowala-sie-na-mordowanie-polakow-szczepionkami/>>.

Za: <http://mocniejszy.wordpress.com/2012/07/01/wieznio-w-kl-polen-droga-pod-prysznic-czyli-na-przymusowe-szczepienia/>

Poniższy materiał - pomimo że nie wskazuje po „imieniu” sprawców blokowania naukowych badań odnośnie przyczyn chorób serca - to jednak wyjaśnia sytuację w tej dziedzinie życia. To, że aż prezydent [USA] interweniuje, jest dobitnym przykładem na zorganizowaną akcję - kiedy sytuacja wymyka się im spod kontroli wkracza najwyższa władza... Nie ulega wątpliwości że była to i jest ta sama „V kolumna”, która obecnie dąży za wszelką cenę narzucić narodom przymusowe szczepienia przeciwko [?] a no przeciwko tzw. grypie tylko jeszcze nie wiedzą czy „ptasia” czy „świńska”, a może „kosmiczna”...

A niżej wymieniony Ancel Keys, to „wytrawny” specjalista - amerykański biolog, zajmujący się między innymi ustalaniem diety dla żołnierzy podczas II wojny światowej [ciekawe zajęcia], poza tym prowadził badania nad skutkami głodu w obozach koncentracyjnych.

Metody te same, które widzimy i dzisiaj - poprzez ustawy antyludzkie, uchwalane przez przekupnych polityków, wprowadzane są konsekwentnie i systematycznie w życie. - A cel? Był i jest ten sam! - Po pierwsze: doprowadzić ludzkość, poprzez spreparowane odżywianie, w stan różnych chorób. Po drugie: raj dla „ich” korporacji, produkujących odpowiednią żywność i lekarstwa - na których robią olbrzymie zyski. A wszystko to jest zsynchronizowane z „Nowym Porządkiem Światowym”. St. Fiut

CO NAM SZKODZI – TŁUSZCZE CZY WĘGLOWODANY

W roku 1977 politycy amerykańscy zadecydowali wbrew wiedzy naukowej, że to tłuszcze a nie węglowodany odpowiadają za najgroźniejsze choroby trapiące współczesnego człowieka.

Od wczesnych lat 1940-tych dzięki badaniom prowadzonym głównie przez niemieckich i austriackich autorów prawie wszystkie europejskie środowiska naukowe przyjęły pogląd, że otyłość jest dolegliwością o podłożu metabolicznym wywołaną czynnikami biologicznymi [enzymami, hormonami itp.], a nie zaburzeniem natury energetycznej - jak przyjmuje się obecnie. Wielu młodych amerykańskich lekarzy i badaczy walczyło przeciwko Trzeciej Rzeszy na froncie i nie widziało potrzeby korzystania z dorobku austriackich i niemieckich i autorów.

Lekarze do lat 1960-tych uważali, że węglowodany, zwłaszcza wysoko przetworzone, tuczą i przy dużym spożyciu mogą wywoływać różne schorzenia, w tym choroby serca. Dlaczego więc środowisko medyczne zmieniło zdanie i ostatecznie uznało że, za choroby serca, otyłość i inne przewlekłe schorzenia odpowiadają nie cukry, ale tłuszcze nasycone. Obie te hipotezy konkurowały ze sobą od lat 1950-tych na mniej więcej równych prawach, ale pod koniec lat 1970-tych hipoteza tłuszczowo-cholesterolowa zwyciężyła i od tego czasu nowe „niskotłuszczowe” myślenie całkowicie zdominowało obszar badań naukowych, medycynę oraz dietetykę i ten stan trwa do dzisiaj. Dorobek badawczy wielu pokoleń lekarzy zajmujących się hipotezą węglowodanową został całkowicie zepchnięty na margines tylko dlatego, że nie dawał się pogodzić z nową antytłuszczową hipotezą - mimo iż nie wspierały jej żadne dowody naukowe [Taubes, 2008; Rolik, www.nowadebata.pl].

Hipotezę, że tłuszcz w pożywieniu podnosi poziom cholesterolu, który wywołuje chorobę wieńcową, sformułował i wylansował Ancel Keys. Kiedy zaczynał popularyzować swoją koncepcję - Amerykańskie Stowarzyszenie Chorób Serca [American Heart Association: w skrócie AHA] i całe środowisko kardiologów w USA nie akceptowało jego poglądów. Jednak Keys skutecznie ... nakłonił AHA do zmiany stanowiska. Udało mu się to osiągnąć dzięki wsparciu jego badań sowsitymi dotacjami [200.000 dolarów rocznie za pośrednictwem Public Health Service] [Taubes, 2008]. Keys zorganizował w ramach AHA komisję, której sam został członkiem. Komisja ta przedstawiła czterostronicowy raport mówiący, że istnieją wystarczające dowody, aby uznać słuszność teorii Keysa i na jej podstawie nakłaniać Amerykanów do przejścia na niskotłuszczowy model odżywiania. Poglądy Keysa bardzo szybko zaczęły rozprzestrzeniać się za pośrednictwem mediów, ignorowano przy tym całkowicie fakt, że nie udawało się ich potwierdzić w eksperymentach naukowych. Sama teoria stała

się przedmiotem codziennych rozmów i wielu ludzi w nią uwierzyło. Z czasem ta teoria stała się wiedzą potoczną, mimo braku naukowych dowodów na jej poparcie.

Keys oparł swoją hipotezę na dwóch badaniach Six Countries Analysis i Seven Countries Study. Obserwując wybrane populacje wykazał istnienie pozytywnej korelacji pomiędzy spożyciem tłuszczu w diecie a śmiertelnością w wyniku choroby wieńcowej. Prowadząc swoje analizy, Keys dysponował danymi z 22 krajów, lecz ograniczył się tylko do 7: USA, Jugosławia, Holandia [wysokie zagrożenie], Anglia [średnie zagrożenie], Włochy, Grecja i Japonia [najmniejsze zagrożenie]. Najwięcej tłuszczu konsumowali Amerykanie i to oni mieli najwięcej problemów z chorobami serca. To najlepiej pasowało do przyjętej hipotezy. Natomiast Japonia pasowała najmniej. Tendencje dietetyczne dominujące w Japonii, w latach 1958-1989, sprawiły że udział węglowodanów spadł tam z 78 do 61 procent ogólnej liczby kalorii. Spożycie tłuszczów wzrosło natomiast z 5 do 22 procent, zaś ilość białka z 11 do 16 procent. Tak więc przykład Japonii pokazał całkowicie odwrotną korelację: im więcej tłuszczu w diecie, tym mniej zachorowań na choroby serca [Toshima *et al.*, 1994]. Mieszkańcy Grecji i Włoch umierają na serce znacznie rzadziej od Amerykanów. A dieta śródziemnomorska wcale nie jest uboga w tłuszcz. Jednak jest wielka różnica w rodzajach tłuszczów. W tej diecie ponad 75 procent kalorii pochodzi z oliwy z oliwek. Tłuszczu zwierzęcego jest w niej bardzo niewiele. Rewelacją jest natomiast to, że mieszkańcy krajów śródziemnomorskich najrzadziej umierają z powodu raka.

Dr Mann, lekarz który przez trzy lata nadzorował przebieg eksperymentu w Framingham, stwierdził, że te badania dowiodły, iż tłuszcz jest zdrowy, zaś dieta niskotłuszczowa - szkodliwa. Także dr Walter Willet, dziekan Wydziału Odżywiania Uniwersytetu Harvardzkiego, podkreślił w swej publikacji „Dieta i choroba serca - czy nie wprowadziliśmy ludzi w błąd”, że badania z siedmiu krajów [Seven Countries Study] nie potwierdziły teorii mówiącej o szkodliwości tłuszczu.

Główny oponent Keysa w tamtym czasie, prof. John Yudkin wykazał, że wszędzie tam gdzie Keys widział związek między tłuszczem i chorobami serca, występowała silna korelacja z ilością spożywanego cukru [Taubes, 2010]. W 1984 r. Keys napisał wraz z innymi autorami pracę w której wyraził żal, że nie uwzględnił w poprzednich badaniach wpływu diety na długość życia i ogólną śmiertelność [Keys *et al.*, 1984].

Amerykańskie Stowarzyszenie Chorób Serca [AHA] szybko zawarło sojusz z producentami olejów roślinnych i margaryny. Wspólnie reklamowano tłuszcze roślinne, kosztem smalcu i masła. Przemysł chętnie finansował podręczniki i materiały informacyjne dla lekarzy. Jednocześnie wdrażał technologię od tłuszczania mleka, jogurtów i innych produktów mlecznych. Od początku ważną rolę w upowszechnianiu nowej hipotezy odgrywały media. Przemysł zawsze miał większy wpływ na polityków niż na pracowników nauki. Stąd kontrowersje wokół wpływu żywienia na zdrowie zostały ostatecznie rozstrzygnięte przez polityków, a nie przez naukowców. 14 stycznia 1977 roku komisja senatora George'a McGoverna ogłosiła „Cele Żywieniowe dla Stanów Zjednoczonych” zalecające zmniejszenie udziału pokarmów zwierzęcych, a zwłaszcza tłuszczów. Tym sposobem zagadnienie naukowe stało się zagadnieniem politycznym. W jego realizacji najważniejszą rolę odegrało Ministerstwo Rolnictwa USA, które opracowało w roku 1980 pierwszą oficjalną niskotłuszczową piramidę żywieniową. Zwycięstwo hipotezy tłuszczowo-cholesterolowej dało podstawę do rozwoju nowych gałęzi usług, takich jak dietetyka czy doradztwo żywieniowe.

Narodowy Instytut Zdrowia zorganizował „Konferencję Kosensusu”, ażeby przekonać wielu badaczy i lekarzy, którzy wciąż nie chcieli zmienić niczego w swojej praktyce ani uznać forsowanych ogólnie niskotłuszczowych dogmatów. W konferencji wzięło udział ponad 600 osób, zaś debata wykazała całkowity brak zgody na przyjęcie wspólnego stanowiska. Mimo to - opublikowano opracowany jeszcze przed konferencją komunikat mówiący o potrzebie obniżania cholesterolu poprzez dietę i środki farmakologiczne. Po usankcjonowaniu przez polityków pseudonaukowych faktów o zdrowotnych właściwościach niskotłuszczowego żywienia naukowcy mieli dostarczyć dowody na słuszność podjętych decyzji.

W roku 1948 powołano do życia program badawczy Framingham Heart Study, który miał udowodnić, że podwyższony poziom cholesterolu sprzyja rozwojowi miażdżycy tętnic wieńcowych. Jednak wyniki badań z lat 1952, 1954, 1956 oraz 1959 wykazały zupełnie odmienne zależności. Wyniki badań z roku 1964 z udziałem blisko 5 000 uczestników zostały utajnione. W roku 1969 prezydent Nixon wstrzymał dalsze finansowanie tego programu.

W latach 1980-84 Narodowy Instytut Zdrowia opublikował wyniki czterech badań przeprowadzonych w Puerto Rico, Honolulu, Farmingham, Chicago. Niestety, żadne z nich nie dowiodło negatywnego działania tłuszczów i cholesterolu. Okazało się, że mężczyźni którzy zmarli w wyniku chorób serca, jedli mniej tłuszczów nasyconych od tych, którzy żyli dalej. Brak było też korelacji pomiędzy poziomem cholesterolu i chorobami serca u kobiet po 50-tym roku życia. Raport z roku 1971 stwierdzał że „cholesterol nie ma wartości prognostycznej” w chorobach serca, zaś raport z roku 1987 wskazywał na fakt, że spadek poziomu cholesterolu o 1 procent skutkowało wzrostem śmiertelności z przyczyn ogólnych o 11 procent. Raport z roku 1992 informował, że „osoby, które jadły najwięcej pokarmów bogatych w cholesterol, ważyły najmniej i były najbardziej aktywne fizycznie”.

Potwierdzały to również fakty z wielu krajów. W Japonii odnotowuje się co roku coraz większe spożycie nasyconych kwasów tłuszczowych oraz cholesterolu, a mimo to śmiertelność z powodu choroby wieńcowej wcale nie wzrasta, a

wręcz odwrotnie - wyraźnie spada. W Belfaście co roku umiera 4 razy więcej ludzi niż w Tuluzie, czego nie można w przekonujący sposób wytłumaczyć hipotezą tłuszczowo-cholesterolową.

W USA dochody biznesu, który napędza zmyśloną „hipotezę mówiącą o szkodliwości cholesterolu”, szacuje się na około 40 miliardów dolarów rocznie.

Powyższe obserwacje były w dużej części ignorowane przez kierownictwo projektu i nie były też przez długi czas publikowane. Upubliczniono je dopiero w roku 1968. Tak więc propagowane w ostatnich 30 latach zalecenia dotyczące tak zwanego „zdrowego odżywiania” wyrządziły ludziom wiele złego.

Wszystkie badania wykazywały istnienie związku między niskim poziomem cholesterolu i wystąpieniem choroby nowotworowej. Szczególnie wyraźnie związek ten występował między niskim poziomem cholesterolu i nowotworem okrężnicy. Wiele publikacji wykazuje istnienie związku między chorobami nowotworowymi i tłuszczami trans [Bakker *et al.*, 1997; Cichosz, 2008; Kohlmeier, 1997; Slattery *et al.*, 2001; Stender *et al.*, 2003]. Na przykład w badaniach wykonanych w Farmingham wykazano, że mężczyźni z poziomem cholesterolu poniżej 190 chorowali na raka okrężnicy trzy razy częściej od tych, którzy mieli poziom cholesterolu powyżej 220 [Taubes, 2008]. Mimo iż wszelkie badania mające wykazać negatywny wpływ diety tłuszczowo-cholesterolowej były wspierane przez przemysł zainteresowany w określonej produkcji, nie udało się zdobyć przekonujących dowodów na jej poparcie.

Doniosłe znaczenie odegrała także praca dr Westona Price'a [2004], który badał przez kilkanaście lat 14 różnych populacji żyjących w warunkach izolacji, takich jak szwajcarscy górale, rybacy irlandzcy, mieszkańcy wysp na Oceanie Spokojnym, afrykańscy Murzyni, Indianie z Kanady, USA i Peru, mieszkańcy Amazonii, Eskimosi i Maorysi z Nowej Zelandii. Populacje tych społeczeństw były zadziwiająco zdrowe. Posiadały zdrowe zęby i były odporne na choroby. Weston Price analizował ich diety i stwierdził, że zawierały one wielokrotnie więcej minerałów i witamin niż ilości tych substancji ustalone i zalecane przez specjalistów od żywienia w Ameryce, a więc dla populacji cywilizacji dobrobytu. Na przykład pokarm Eskimosów zawierał 5,4 razy więcej wapnia, 5 razy więcej fosforu, 1,5 raza więcej żelaza, 7,9 razy więcej magnezu, 1,8 razy więcej miedzi i 49 razy więcej jodu. Pokarm Indian północno-kanadyjskich zawierał 5,8 razy więcej wapnia i fosforu, 2,7 razy żelaza, 4,3 razy magnezu, 1,5 raza miedzi i 8,8 razy jodu. Podobnie było w przypadku pozostałych diet badanych populacji. Przepuszczalnie najbardziej szokujące było to, że diety tych ludów zawierały conajmniej 10 razy więcej witamin rozpuszczalnych w tłuszczach - A, D, E, K - oraz koenzymu Q10, co oznacza, że ich członkowie musieli konsumować więcej tłuszczów.

Nie można również nie zauważyć, że ludy dalekiej północy zjadające wyjątkowo dużo tłuszczu i bardzo mało węglowodanów nie umierają na choroby, które przypisuje się zjadaniu tłuszczu. Upowszechnianie niskotłuszczowego modelu żywienia i ograniczenia tłuszczów zwierzęcych [nienasyconymi], a także zalecanie zwiększenia spożycia ziaren zbóż i pokarmów węglowodanowych zgodnie z propagowaną piramidą żywieniową nie doprowadziło do poprawy zdrowia, a wręcz odwrotnie spowodowało jego pogorszenie.

Zmiana sposobu odżywiania w okresie, w którym człowiek przeszedł od modelu zbieracko-łowieckiego do uprawy roli i przemysłowego wytwarzania żywności, była przejściem od diet o niskiej zawartości węglowodanów do diet o wysokiej ich zawartości.

Zbieracko-łowiecki model odżywiania stosowany był przez ludzi przez około 2 miliony lat, czyli przez 99 procent okresu ewolucji gatunku ludzkiego. Jednak dawniej nie spożywano produktów przemysłu spożywczego: węglowodanów, produktów zbożowych, nabiału, słodkich napojów, cukru, olejów roślinnych i batonów. Poniższa ilustracja przedstawiająca człowieka jaskiniowego, z palcolitu oraz współczesnego, żywnego przez przemysł spożywczy, wyjaśnia, do czego to prowadzi [CrossFitBN, 23 września 2009].

W USA, kraju - który tak bezmyślnie [...] we wszystkim naśladujemy - wybuchła prawdziwa epidemia otyłości i chorób cywilizacyjnych. Liczba chorych na cukrzycę typu II w latach 1980-2006 prawie się potroiła, wzrastając od 5,6 do 16,8 miliona. Obecnie ponad dwie trzecie ludności ma problem z nadwagą lub otyłością. Szczególnie niepokojący jest wzrost otyłości brzusznej u mężczyzn prowadzący do chorób serca, nadciśnienia i cukrzycy. W latach 1980-2000 potroiła się liczba dzieci otyłych w wieku 11-19 lat. Światowa Organizacja Zdrowia [WHO] ostrzega, że czas życia tych dzieci będzie krótszy od czasu życia ich rodziców.

Kluczem do rehabilitacji hipotezy węglowodanowej są osiągnięcia endokrynologii, a zwłaszcza odkrycie roli insuliny. W roku 1959 Rosalyn Sussman i Salomon Bernson opracowali metodę pomiaru insuliny we krwi. Zauważyli, że insulina jest najważniejszym regulatorem metabolizmu tłuszczów. Dziś wszyscy powinniśmy wiedzieć, że kiedy poziom insuliny jest podwyższony, to tłuszcze są magazynowane, natomiast kiedy poziom insuliny opada, to z tkanki tłuszczowej są uwalniane kwasy tłuszczowe do krwi i tkanka ta ulega redukcji. Ma to ogromne znaczenie w odżywianiu, gdyż insulina jest uwalniana do krwi w reakcji na węglowodany, a nie w reakcji na tłuszcze.

Zjadanie większej ilości węglowodanów stymuluje trzustkę do wytwarzania większej ilości insuliny która wzmacnia apetyt przez gwałtowne obniżenie poziomu glukozy we krwi. Hormon ten blokuje uczucie sytości i może podtrzymać wzmożone łaknienie nawet w trakcie jedzenia. Wzajemna zależność insuliny i węglowodanów znakomicie wyjaśnia, dlaczego jedząc węglowodany zaczęliśmy więcej jeść i w rezultacie tyć. Przejadanie się tłustym pokarmem jest niemożliwe, bo tłuszcz nie

działa na insulinę i daje poczucie sytości. Cukrzyca typu II nie jest spowodowana przez brak insuliny, ale przez jej nadmiar powstały skutek oporności na nią. Tak więc leczenie insulinooporności przez podawanie insuliny, jak to się dzisiaj praktykuje, jest zdecydowanie szkodliwe.

Hormonalnego wyjaśnienia przyczyn otyłości nie dało się pogodzić z hipotezą tłuszczowo-cholesterolową. Wyciągnięto więc hipotezę bilansu kalorycznego, która poucza, że kiedy spożywamy więcej kalorii niż spalamy, występuje dodatni bilans energetyczny i nadmiar nie zużytej energii jest magazynowany w postaci tkanki tłuszczowej. Tyjemy z obżarstwa i lenistwa. Nie ma przy tym znaczenia z jakiego źródła ten nadmiar energii pochodzi. Tak więc aby stracić nadmiar tkanki tłuszczowej, należy ograniczać ilość kalorii w diecie albo zużywać jej nadmiar w wyniku zwiększonej aktywności fizycznej.

Już w latach 1960-tych zauważono, że insulina wzmacnia rozrost i namnażanie się, zarówno tkanek zdrowych, jak i złośliwych. Laureat Nagrody Nobla Howard Temin [1968] zauważył że uzłośliwione komórki nowotworowe w warunkach laboratoryjnych nie namnażały się do momentu dodania insuliny do serum, w którym były hodowane. Insulina wzmacnia rozrost i namnażanie się, zarówno tkanek zdrowych, jak i złośliwych. Szczególną wrażliwość na insulinę wykazują komórki piersi. To wszystko dowodzi potrzeby ogromnej wiedzy, zarówno o naszym odżywianiu, jak i w zaleceniach lekarskich. Insulina oddziałuje także na estrogen, przez co może przyczyniać się do powstawania raka piersi u kobiet. Tego wszystkiego nie da się pogodzić z paradygmatem tłuszczowo-cholesterolowym, który poprzez piramidę żywieniową, zaleca diety bogate w węglowodany, których nadmiar podnosi poziom insuliny we krwi. Tego paradygmatu nie da się obronić na gruncie naukowym.

To dowodzi, jak bardzo maleje znaczenie nauki. Dopiero werdykt polityczny - umożliwił kompleksowi medycznemu i wielkiemu biznesowi ustanowienie hipotezy tłuszczowo-cholesterolowej jako urzędowego paradygmatu medycznego. A to oznacza, że współczesna medycyna i nauka w coraz większym stopniu podlegają potrzebom politycznym i ekonomicznym, a w coraz mniejszym prawom nauki. Dziś wiemy, że obniżanie poziomu cholesterolu we krwi oznacza olbrzymie zyski dla firm farmaceutycznych, lekarzy oraz producentów różnych margaryn. Zgodnie z opinią wielu wybitnych przedstawicieli nauk medycznych takie działanie jest szkodliwe, a w wielu wypadkach stwarza zagrożenie dla życia [Behar *et al.*, 1997; Cabot, 2007; Hartenbach, 2010 i wielu innych].

Na całym świecie wzrosło występowanie zastoinowej niewydolności serca. Ma ona miejsce wtedy, gdy serce słabnie i nie może pompować krwi z taką wydolnością, z jaką powinno. Przyczyną jest pozbawianie organizmu ważnej substancji, jaką jest koenzym Q10. Jego niedobór sprawia, że mitochondria w komórkach serca nie mają dostatecznej ilości energii, co prowadzi do osłabienia mięśnia sercowego. Niewydolność serca jest tym większa, im dłużej podawane są „leki” obniżające poziom cholesterolu [Cabot, 2007].

W doświadczeniach prowadzonych na gryzoniach leki obniżające poziom cholesterolu [fibraty i statyny] wywoływały raka. Te leki działają na ludzi podobnie jak i na zwierzęta, przy czym, w przypadku ludzi skutki objawiają się później, ponieważ choroba rozwija się wolniej, i potrzebuje więcej czasu na wytworzenie pełni objawów. Niektóre badania przeprowadzone na ludziach [CARE] dowiodły, że wśród pacjentów przyjmujących statyny występowanie raka piersi wzrosło o 1,500 proc. [Sacks *et al.*, *New England Journal of Medicine*, 1996, 385: 1001-1009]. Zbyt niski poziom cholesterolu może zwiększyć ryzyko chorób serca i raka, powodować bóle mięśni, nerwów oraz chroniczne zmęczenie a też doprowadzić do depresji oraz zrujnować pamięć i życie erotyczne [Cabot, 2007]. Literatura tematu obfituje w wiele znanych prac popularyzujących diety o małej ilości węglowodanów [np. Allan Lutz, 2001; Mercola, 2006; czy znany w Polsce Jan Kwaśniewski, 2001, 2004]. Bez szczegółowej znajomości tych prac trudno jest ocenić i zrozumieć różnicę i wartość omawianych tu hipotez. Wynika z tego, że wbrew koncernom farmaceutycznym i zaleceniom szkolonej przez nie służby zdrowia, miliony ludzi wybrały odpowiadającą im zdrową dietę i to wiele lat wcześniej, niż ukazały się cytowane tu interesujące opracowania. W Polsce początek dał dr Jan Kwaśniewski. Dzisiaj Stowarzyszenie Optymalnych zrzesza ponad 8,000 aktywnych członków, zaś populacja optymalnych liczy już co najmniej milion osób. Mają swoje arkadie i swoich optymalnych lekarzy. U osób stosujących tę dietę, bardzo rzadko zdarzają się zgony z powodu choroby serca lub raka, zaś takie choroby, jak cukrzyca, leczy się z łatwością.

Obraz, jaki wyłania się z tego przeglądu, nie pozostawia wątpliwości, że społeczeństwo musi samo zadbać o swoje zdrowie, jeśli nie chce być dalej manipulowane. To nie farmacja czy uzależniona od niej medycyna ma dyktować, czym mamy się leczyć i za co płacić. To pacjenci muszą decydować, jakiej medycyny chcą i jakich lekarstw potrzebują. Muszą to być działania tanie i skuteczne, zaś celem najważniejszym dla wszystkich musi być zdrowie człowieka, a nie zyski koncernów farmaceutycznych.

Prof. Stanisław Wiąckowski

Zbrodnia na księdzu Jerzym Popieluszko była klasyczną zbrodnią założycielską - to był fundament pod "okrągły stół" w 1989 r. Ona wytyczyła przebieg wypadków w Polsce do 2010 r. Podobnie jest ze smoleńskim zamachem - ta zbrodnia ma ustanowić "nowy ład" w Polsce od 2010 r. Jej konsekwencje są jednak większe bo zakulisowo wpływają na sytuację międzynarodową w Europie i na świecie. Najważniejsze tajne służby na świecie wiedzą co tam się zdarzyło bo każdy

samolot z takimi pasażerami jest przez nich monitorowany 24h na dobę. Do puki Polacy nie wyjaśnią do końca tych dwóch zbrodni to nigdy nie będą wolnymi ludźmi a Polska nie będzie niepodległym krajem. Ludzie w Polsce zamieszani w te zbrodnie są rakiem toczącym nasz kraj. Nawet gdy już umrą to już odpowiednio wcześniej służby właściwych państw zadbają aby ich dzieci i wnuki przejęły ich rolę. Zdrada będzie dziedziczona do puki Polska nie zniknie z mapy świata lub sama wcześniej ich nie zdemaskuje i ukarze.

ŚLEDZTWO POD SPECJALNYM NADZOREM

Przez ostatnie lata dociekanie prawdy o zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki było obciążane zarzutem "działania na szkodę procesu beatyfikacyjnego". Tak tłumaczono, dlaczego nie powinno się szukać prawdziwych zabójców kapelana "Solidarności", który został wyniesiony na ołtarze 6 czerwca 2010 r.

Było ciepłe jesienne południe 21 listopada 1991 r., gdy prokurator Andrzej Witkowski, w towarzystwie kilku innych prokuratorów i policjantów, wkroczył do siedziby Wojskowych Służb Informacyjnych w Bydgoszczy. Jego zamiarem, było przesłuchanie sześciu funkcjonariuszy WSI którzy mieli związek ze sprawą zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. Śledztwo w tej sprawie Witkowski wszczął prawie rok wcześniej. Po kilku miesiącach dotarł do wstrząsających dokumentów MON, które o sto osiemdziesiąt stopni zmieniały wiedzę o tej zbrodni. Z opatrzonej klauzulą najwyższej tajności dokumentów wynikało, że już od 15 września 1984 roku, a więc na miesiąc przed uprowadzeniem ks. Jerzego, kilku funkcjonariuszy Wojskowych Służb Wewnętrznych [w 1989 r. przekształconych w Wojskowe Służby Informacyjne] śledziło niemalże każdy krok Grzegorza Piotrowskiego, Leszka Pękali, Waldemara Chmielewskiego i Adama Pietruszki - wszystkich oficerów Służby Bezpieczeństwa skazanych w procesie toruńskim. Ta informacja wskazywała, że lawę oskarżonych w sprawie zabójstwa księdza Jerzego ktoś przygotował już na miesiąc przed tym zabójstwem. Idąc tym tropem, Witkowski ustalił, że także tragicznego wieczoru 19 października 1984 roku, a więc w momencie uprowadzenia księdza Jerzego, sześciu funkcjonariuszy WSW ani na moment nie traciło z pola widzenia inwigilowanej grupy Piotrowskiego. Wnioski nasuwały się same: świadkami zbrodni było sześć nieznanych dotąd osób, które należało poddać jak najszybszemu przesłuchaniu. Rozpoczęte w południe przesłuchanie sześciu świadków zbrodni zakończyło się po północy i przyniosło zapowiedź przełomu. Dlaczego przesłuchujący byli zadowoleni, skoro oficerowie Wojskowych Służb Informacyjnych - pięciu mężczyzn i jedna kobieta - udzielali im zdawkowych, wymijających odpowiedzi? Powodem takiego stanu rzeczy był fakt, że troje funkcjonariuszy WSI, pod koniec wielogodzinnego przesłuchania, złożyło jednoznaczny deklarację: cała prawda za rządowe gwarancje bezpieczeństwa.

"Byli przerażeni, ale mimo to zadeklarowali dobrą wolę. Żądali tylko jednego: gwarancji bezpieczeństwa dla siebie i swoich rodzin. Wydawało się oczywiste, że ten warunek zostanie spełniony" - wspomina jeden z członków zespołu śledczego prokuratora Andrzeja Witkowskiego. W zgodnej opinii Witkowskiego i jego współpracowników następne przesłuchanie, wyznaczone na 28 listopada w Warszawie - miało przynieść przełom. Stało się inaczej. 22 listopada 1991 roku, nazajutrz po pierwszym przesłuchaniu, niemal w samo południe Andrzej Witkowski został wezwany do Ministerstwa Sprawiedliwości na naradę. Spotkanie nie trwało długo i ograniczyło się - do przekazania prokuratorowi decyzji podjętej "kolegialnie" przez ministra Wiesława Chrzanowskiego i Stanisława Iwanickiego, że jego rola, jako prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki, została zakończona.

"Nie od razu to do mnie dotarło. Nie potrafiłem zrozumieć, jak to możliwe, że w sprawie tak ważnej, w wolnej Polsce, odbiera mi się śledztwo w przededniu historycznego odkrycia" - wspominał przed kilku laty Witkowski, któremu obecnie ministerialny zakaz nie pozwala na wypowiedzanie się w tej sprawie. Po kilku godzinach, od współpracujących z nim funkcjonariuszy policji, dowiedział się, co mogło być przyczyną decyzji przełożonych. "W ramach śledztwa u generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka założono podsłuchy telefoniczne. W trakcie jednej z rozmów Jaruzelski poinformował Kiszczaka, że sprawy zaczynają przybierać niekorzystny obrót i trzeba [?] zrobić coś z tym prokuratorem" - mówi proszący o anonimowość współpracownik Andrzeja Witkowskiego. Kilka godzin po tej rozmowie Witkowski dowiedział się o zakończeniu swojej misji. Do drugiego przesłuchania sześciu oficerów WSI, którzy byli świadkami uprowadzenia księdza Jerzego Popiełuszki, nie doszło do dziś. Film:

http://www.youtube.com/watch?v=iOJg7SZi0yY&feature=player_embedded

Historia bez końca

Szansa na wyjaśnienie najbardziej tajemniczej zbrodni politycznej PRL-u powróciła w lutym 2002 r., po powołaniu Instytutu Pamięci Narodowej. Wszczęto wówczas śledztwo dotyczące związku przestępczego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w latach osiemdziesiątych; ster śledztwa przekazano ponownie prokuratorowi Andrzejowi Witkowskiemu. Jednym z elementów śledztwa miała być sprawa zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. "Dowody zbierane od początku prowadzenia tej sprawy nie pozostawiały wątpliwości, że wszystko, co publicznie mówiono o okolicznościach tej zbrodni, poza miejscem i datą uprowadzenia księdza Jerzego, było kłamstwem" - wspominał Andrzej Witkowski. Witkowski na nowo zmontował zespół śledczy i z miejsca wziął się do pracy. Musiał zaczynać od początku, bo cały dorobek śledztwa z lat 1990-1991 przepadł bez wieści. Nigdy nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób zniknęły dokumenty i wiele dowodów zebranych dziesięć lat wcześniej. Po blisko trzech latach wznowionego śledztwa, w połowie października 2004 r., Witkowski był już gotowy do decydującego uderzenia. Poinformował przełożonych o wynikach prowadzonego przez

siebie śledztwa w sprawie zamordowania księdza Popiełuszki i - na żądanie profesora Witolda Kuleszy, ówczesnego szefa pionu śledczego IPN - opracował komunikat, którego treść zamierzał przedstawić mediom podczas konferencji prasowej w dwudziestą rocznicę śmierci kapelana "Solidarności". Następnie planował postawienie zarzutów kilku osobom które brały udział w zbrodni bądź w wydarzeniach z nią związanych. Na ławie oskarżonych obok generała Czesława Kiszczaka i Waldemara Chrostowskiego [kierowcy ks Popiełuszki] miało zasiąść kilkanaście innych osób, w tym prominentni politycy z rządów SLD i AWS, którzy wykorzystywali zajmowane wysokie stanowiska państwowe do utrudniania prowadzonego przez prokuratora śledztwa. "Gdyby do postawienia takich zarzutów doszło, podstawy, na których opiera się obowiązująca dotąd wersja zbrodni ustalona w procesie toruńskim, ległyby w gruzach" - mówił zmarły tragicznie w Smoleńsku poseł Zbigniew Wassermann, jeden z największych orędowników wersji prokuratora Andrzeja Witkowskiego.

Stało się inaczej. 27 października 2004 roku prokurator Piotr Zając, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, poprosił kolegów na naradę. Był przygnębiony. Krótco oświadczył, że dzień wcześniej podczas narady służbowej naczelników IPN w Warszawie nakłaniano go do mówienia nieprawdy przed kolegium prokuratorów. Z relacji wynikało, że profesor Witold Kulesza, szef Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu miał domagać się, by naczelnik zwołał konferencję prasową podczas której oznajmi że to on [Piotr Zając] podjął decyzję o odsunięciu prokuratora Andrzeja Witkowskiego od śledztwa w sprawie zabójstwa księdza Popiełuszki. Naczelnik odmówił. W odpowiedzi usłyszał, że nie panuje nad podległą sobie komórką IPN. Właśnie dlatego bezpośrednio po spotkaniu z podwładnymi, wystąpił do profesora Leona Kieresa, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, z wnioskiem o dymisję. Jako oficjalny powód podał "niemożliwość wypełniania zadań" z powodu braków kadrowych i organizacyjnych. Trzydzieści dni wcześniej, 14 października, szef pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej Witold Kulesza poinformował, że ze względów formalnych prokurator Andrzej Witkowski z Lublina nie prowadzi już śledztwa w sprawie zabójstwa księdza Popiełuszki.

Jak wyjaśnił profesor Kulesza, w przeszłości Witkowski miał być przesłuchiwany w charakterze świadka w procesie generałów SB Władysława Ciastonia i Zenona Płatka (domniemanych inspiratorów zglądzenia ks Popiełuszki), a to - jak wyjaśnił Witold Kulesza - miało wykluczać prokuratora z dalszej sprawy. "Profesor Kulesza musiał wiedzieć, że Andrzej Witkowski odmówił w sądzie składania zeznań, i nie wypowiedział ani słowa. Musiał to wiedzieć, bo przecież donosiły o tym media szeroko, opisując zadziwiającą sytuację, w której sąd zadawał Witkowskiemu pytania ten zaś milczał. Poza wszystkim przez blisko trzy lata, kiedy Witkowski zajmował się sprawą, względy proceduralne nie przeszkadzały nikomu. Zaczęły przeszkadzać dokładnie w tym momencie, gdy prokurator miał stawiać zarzuty ludziom na wysokich stołkach" - mówił Zbigniew Wassermann.

Po odebraniu sprawy Witkowskiemu śledztwo dotyczące zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki utknęło w martwym punkcie. Sprawę na rok skierowano do Katowic, skąd akta pojechały do Torunia, a następnie do Warszawy. Ale pojawiła się kolejna szansa powrotu do śledztwa Andrzeja Witkowskiego, do którego koncepcji zdawali się przekonywać wpływowi politycy PiS, ze Zbigniewem Ziobrą na czele. Z kuluarowych rozmów wynikało, że Witkowski miał kontynuować swoje dzieło poza strukturami IPN, jako prokurator prokuratury powszechnej. Taka zmiana otworzyłaby nowe możliwości, choćby skorzystania z instytucji świadka koronnego, z której nie mogą korzystać prokuratorzy IPN. "Przymierzano się do przywrócenia Witkowskiemu śledztwa jesienią 2007" - mówi proszący o anonimowość wpływowi polityk PiS. Ostatecznie pomysł upadł po wyborach parlamentarnych, które się odbyły w październiku 2007 r. W Warszawie sprawę przejął prokurator Adam Sidor, początkowo sceptycznie nastawiony do kierunku obranego przez Andrzeja Witkowskiego, z czasem coraz bardziej przekonany do jego wersji. "Ze względu na tajemnicę państwową i służbową nie mogę podawać żadnych szczegółów. Powiem tylko, że dokładna analiza sprawy pozwoliła ocenić, jak solidną pracę wykonał Andrzej Witkowski" - mówi prokurator Sidor.

Docenienie wysiłków poprzednika nie miało w tym wypadku znaczenia innego niż symboliczne. I po kilkunastu miesiącach prowadzenia sprawy, wiosną 2009 r., Sidor rozstał się ze śledztwem i odszedł z IPN. Sprawę przejął kolejny, piąty z kolei prokurator, Bogusław Czerwiński, który próbuje kontynuować dzieło poprzedników. "Sama analiza stu kilkudziesięciu tomów akt zajmie mu kilkanaście miesięcy. Gdy myślę o tym śledztwie, przychodzi mi na myśl tylko jedno słowo: fatum" - mówił w marcu tegoż roku, Zbigniew Wassermann. Trudno oprzeć się wrażeniu że trwające - z przerwami i w ramach różnych instytucji - już dwadzieścia lat śledztwo rzeczywiście przesładuje pasmo nieszczęść. Na początku kwietnia, tuż przed tragedią smoleńską, w świat została wysłana informacja, że jeszcze przed beatyfikacją księdza Jerzego Popiełuszki prezes IPN, dr Janusz Kurtyka, przedstawi nowe fakty dotyczące okoliczności śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Czy ujawni je następca dr Kurtyki? Tego nie wiemy...

Dotychczasowe ustalenia prokuratora Andrzeja Witkowskiego, który ma największe zasługi dla wyjaśniania prawdy o zbrodni popełnionej na księdzu Jerzym, wskazują jednoznacznie: w tę zbrodnię, której ofiarą padł kapelan "Solidarności", uwikłani są bardzo wpływowi ludzie. A inni, też bardzo wpływowi ludzie od lat nie chcą dopuścić do jej wyjaśnienia, gdyż obawiają się, że złamią ustaloną pod koniec lat osiemdziesiątych znową milczenia i spowodują lawinę. Przy okazji wyjaśnienia okoliczności tej zbrodni, mogłyby wyjść na światło dzienne fakty świadczące o dwuznacznej roli niektórych

przedstawiciele duchowieństwa, na czym mógłby ucierpieć autorytet Kościoła. Mówił o tym Krzysztof Wyszowski, doradca premiera Krzysztofa Bieleckiego, który 16 stycznia 2003 roku złożył Witkowskiemu zeznanie: "Gdy prezydentem został Lech Wałęsa, a ja na przełomie 1990 i 1991 roku zostałem doradcą premiera rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego, dowiedziałem się z pewnych źródeł rządowych, że kierowca zamordowanego księdza Jerzego Popiełuszki miał być współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Ta informacja dotarła do mnie w trakcie prowadzonych rozmów w kręgach rządowych na temat potrzeby wprowadzenia w kraju lustracji mającej na celu utworzenie niepodległego państwa, niezależnego od ludzi dawnej władzy i reprezentujących obce interesy. Jako doradca premiera i kolega prezydenta Lecha Wałęsy - namawiałem ich oraz innych ludzi z kręgu elity ówczesnej władzy do zajęcia się rozwikłaniem sprawy zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki jako węzłowej dla wykazania niejawnej i bezprawnej polityki prowadzonej przez komunistyczne służby specjalne. Lech Wałęsa mówił wtedy, że on jest za słaby na wyjaśnienie przyczyn porwania i zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki, i że gdyby do tego doszło, to - zatrzęsłaby się Polska... Nie precyzował żadnych szczegółów, ale jasne było dla mnie, że chodzi tu o najwyższe władze państwowe, Kościoła i ruchu solidarnościowego".

Tak czy inaczej - podważanie ustaleń procesu toruńskiego idzie wyjątkowo opornie a prokuratorowi Andrzejowi Witkowskiemu skutecznie dorobiono image fantasty [to jedno z bardziej delikatnych dyskredytujących go określeń], jednocześnie zaś uniemożliwiono obronę przed oszczerstwami, zakazując mu jakichkolwiek wypowiedzi na temat sprawy. Zastanawiające jest to że taką opinię wyrobiono jednemu z najbardziej rzetelnych i skutecznych [o ile w ogóle nie najskuteczniejszemu] prokuratorowi w Polsce, który w całej swojej blisko trzydziestoletniej prokuratorskiej karierze odnosił wyłącznie sukcesy. Na ponad trzysta prowadzonych spraw, w tym wielu zabójstw i najcięższych przestępstw, ponad trzysta uzyskanych wyroków skazujących i ani jednej porażki!

Nie tylko wydarzenia z przeszłości, ale także z ostatnich lat wskazują, że zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki i okoliczności związane z tą zbrodnią nie są wyłącznie sprawą historyczną. Na ten temat mógłby coś powiedzieć Stanisław Popiełuszko, który - podobnie jak i drugi z braci księdza Jerzego, Józef - do dziś nie pogodził się z "ustaleniami" procesu z 1985 r. Po udzieleniu kilku publicznych wypowiedzi na ten temat zaczął odbierać anonimowe groźby. "Nieznani sprawcy" zagrozili, że w wypadku powtórzenia się podobnej "niesubordynacji" śmierć księdza Jerzego nie będzie ostatnią tragedią w rodzinie Popiełuszków. Stanisław Popiełuszko nie przeląkł się i kilka miesięcy później w niewyjaśnionych okolicznościach zmarła jego żona. Jak wykazała sekcja zwłok śmierć nastąpiła wskutek przedawkowania alkoholu metylowego. Innymi słowy - Danuta Popiełuszko zmarła z przepicia, co w przypadku abstynentki, która nigdy nie piła alkoholu pod żadną postacią, jest zjawiskiem niezwykłym. W podobnych okolicznościach zmarł jeden ze świadków, którego zeznania złożone przed prokuratorem Andrzejem Witkowskim całkowicie podważały wersję toruńską. Także ten "wypadek" nigdy nie został wyjaśniony, podobnie jak wizyta złożona w grudniu 2008 roku rodzinie Popiełuszków przez rzekomych przedstawicieli kurii biskupiej w Białymstoku, którzy prosili, by bliscy nie zakłócali procesu beatyfikacyjnego "syna" i "brata" i nie wypowiadali się więcej na temat okoliczności jego śmierci. Oburzeni najściem bliscy księdza Jerzego udali się do kurii, gdzie usłyszeli, że nikt do nich żadnych przedstawicieli nie wysyłał. Sprawą wyjaśnienia wizyty uzurpatorów zajęła się białostocka prokuratura.

"Ta sprawa to nie historia. To coś, co wciąż trwa" - mówił w marcu [2010] poseł Zbigniew Wassermann. "To nie przypadek, że tej jednej jedynej sprawy nie pozwolono mi dokończyć. Analiza akt i zeznania kilkudziesięciu świadków wskazują, że w tej sprawie przypadków nie ma i nigdy nie było" - mówił, gdy jeszcze wolno mu było mówić, prokurator - Andrzej Witkowski. Dopóki żyją świadkowie zbrodni, wciąż istnieje szansa, że najbardziej tajemnicza zbrodnia PRL-u zostanie wyjaśniona. A jej wyjaśnienie to dopiero początek historii. W tej sprawie, jak w żadnej innej, przeszłość jest prologiem.

Droga do prawdy

Wiosną 1990 r. prokuratorowi Andrzejowi Witkowskiemu zaproponowano prowadzenie śledztwa dotyczącego wyjaśnienia okoliczności zbrodni popełnionej na księdzu Jerzym. Witkowski miał opinię prokuratora specjalizującego się w wyjaśnianiu najpoważniejszych przestępstw, zwłaszcza zabójstw. Już pierwsze miesiące potwierdziły zasadność pytań o wiarygodność Waldemara Chrostowskiego. Śledczy zdawali sobie sprawę, jak ważne jest wyjaśnienie tych wątpliwości. Jako bohater i jedyny świadek zbrodni Chrostowski położył fundamenty pod ustalenia procesu toruńskiego. Podważenie wiarygodności Chrostowskiego podważało de facto ustalenia tego procesu i rozpoczynało historię od początku. Prokuratorzy skupili się na dociekanii, jak w rzeczywistości wyglądało uprowadzenie kapelana "Solidarności" i co tak naprawdę wydarzyło się w październiku 1984 r. w okolicach Włocławka i Torunia. Pojawiło się pytanie: komu zależało na fałszowaniu prawdy?

Kulminacyjny punkt operacji zacierania śladów miał miejsce nocą z 25 na 26 października 1984 r. Z zeznań świadków i dokumentów wynikało, że tej nocy zwłoki księdza Jerzego zostały wrzucone z tamy w nurty Wisły, a następnego dnia, po otoczeniu terenu milicyjnym i wojskowym kordonem, odnalezione przez milicyjnych nurków. Informacja o tym fakcie wydostała się poza kordon i dotarła do seminarium we Włocławku oraz do Warszawy. Fakt wrzucenia zwłok księdza Jerzego do nurtów Wisły w noc z 25 na 26 października 1984 r. oznaczał, że oprawcy Księdza skazani w procesie

toruńskim musieli mieć nieznanych dotąd współników, ponieważ sami przebywali w areszcie już od 23 października. Niedawno Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał zarzuty wobec Chrostowskiego za bezzasadne.

Wojciech Sumliński

Za: http://obnie.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=2545:-popieluszko-witkowski&catid=96:sluzby&Itemid=27

WOKÓŁ BERLIŃSKIEGO KONGRESU

Ach, cóż za siurpryza - i to w dodatku podwójna, ach, co ja mówię - nie żadna tam „podwójna”, tylko wręcz poszóstna! Właśnie kilka dni temu, to znaczy - 4 lipca - wszystkie niezależne media doniosły o odbytych 12 maja br. w Berlinie pierwszym kongresie Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce, na którym przedstawione zostały różne gorące pragnienia i postulaty - między innymi i ten, by język hebrajski został uznany w naszym nieszczęśliwym kraju za drugi język urzędowy. Niezależne media okraszają tę informację uspokajającym komentarzem „Wielkiego Przyjaciela Polski”, czyli byłego ambasadora Izraela w Warszawie, pana dr Szewacha Weissa, który powiada, że to „fantazje”. Może sam w to wierzy, a może tylko tak dobrotliwie komentuje ze względów humanitarnych, by niepotrzebnie, a zwłaszcza - by przedwcześnie nie płoszyć naszego mniej wartościowego narodu tubylczego.

Z drugiej jednak strony, wiele fantastycznych pomysłów ziściło się nawet na naszych oczach, więc dlaczego to akurat ten miałby się nie ziścić? Skoro szef Mosadu został Honorowym Obywatelem Rzeczypospolitej, to dlaczego - powiadam - w przyszłości nie będzie mógł zostać Pierwszym Obywatelem? Takie rzeczy już się przecież w naszym nieszczęśliwym kraju zdarzały ze wspomnę choćby Jakuba Bermana, który wprawdzie był tylko skromnym wiceministrem, ale w prawdziwym rządzie - jak wspomina Stanisław Mikołajczyk, który przecież coś tam musiał o tym rządzie wiedzieć - był w hierarchii na pozycji czwartej, zaraz po Iwanie Sierowie, po którym następował szef NKWD w sowieckiej ambasadzie, następnie ambasador Lebediew, a zaraz potem - właśnie Berman, którego generał Jaruzelski jeszcze w roku 1983 udekorował orderem Krajowej Rady Narodowej. Ale, mniejsza o te wspominki, pokazujące przecież, że ciągłość pewnych procesów przekracza bariery transformacji ustrojowych i odwracania sojuszków - zwłaszcza, gdy sojusze są odwracane również przez starszych i mądrzejszych, bo ważniejsze są inne, aktualne okoliczności tej całej sprawy.

Po pierwsze - ten „pierwszy” kongres Ruchu Żydowskiego Odrodzenia w Polsce odbył się w Berlinie, a nie w Warszawie, mimo, że ta pompuje i pompuje pieniądze w Muzeum Historii Żydów Polskich. To, że pieniądze pompuje pani prezydentowa Hanna Gronkiewicz-Waltz, to naturalne, jakże by inaczej. Znacznie ciekawsza jest darowizna, jaką ostatnio wzbogacił Muzeum najbogatszy człowiek w Polsce czyli pan dr Jan Kulczyk który ponoć dał aż 20 milionów. Za takie pieniądze na Ukrainie została przeprowadzona „pomarańczowa rewolucja”, po której do dzisiejszego dnia nie może się pozbierać pani Julia Tymoszenko. Zresztą - mniejsza o nią - bo dotacja uczyniona przez pana dra Jana Kulczyka wskazuje, że i on coś musi wiedzieć a skoro coś musi wiedzieć i daje, to znaczy, że wie, iż trzeba dawać. „Bo mówiła żony ciotka: tych co płacą - nic nie spotka” - powiedział Konstanty Ildefons Gałczyński. A któż w naszym nieszczęśliwym kraju jest bez grzechu wobec Boga i bez winy wobec cara? Może są takie osoby, ale czy należy do nich akurat pan dr Jan Kulczyk? Tego oczywiście nie wiemy, ale skoro płaci, to pewnie też liczy na to, że nic go nie spotka.

Mimo to jednak kongres odbył się w Berlinie, a nie w Warszawie, chociaż odrodzenie żydowskie ma nastąpić właśnie w naszym nieszczęśliwym kraju a nie w Niemczech! Dlaczego tedy w Berlinie? Warto przypomnieć artykuł pewnego malarza, jaki ukazał się przed kilkoma laty w niemieckiej prasie - że mianowicie dobrze byłoby przenieść Izrael do Europy. Autor wskazywał dwie możliwe lokalizacje: Turynię, albo Polskę. Ponieważ w Niemczech malarze dochodzą czasami do wielkiego znaczenia politycznego, osobiście bym tych projektów nie lekceważył tym bardziej że wychodzą one naprzeciw niemieckiej polityce - i to nie tylko historycznej, ale i politycznej. Bo chyba nikt nie wątpi, że taki kongres musiał odbywać się za aprobatą tamtejszych władz, a może nawet - z ich entuzjastycznym, choć dyskretnym poparciem?

Dlaczego zatem niemieckim władzom zależy na odrodzeniu żydowskim w Polsce? Czyżby dlatego że takie odrodzenie znakomicie wkomponowuje się w scenariusz rozbiorowy, ułatwiając rozciągnięcie ścisłej politycznej i gospodarczej kontroli nad naszym mniej wartościowym narodem tubylczym przy pomocy politycznego instrumentu pod nazwą Judeopolonia? Pożyteczna myśl raz rzucona w przestrzeń prędzej czy później znajdzie swego amatora - a warto przypomnieć, że pomysł Judeopolonii pojawił się w roku 1916 - co prawda w trochę innym kształcie terytorialnym, ale przecież nie o kształt tu przede wszystkim chodzi, tylko o roztoczenie kurateli nad mniej wartościowym narodem tubylczym - by każdy rozpaczliwy odruch sprzeciwu z jego strony bezpiecznie pacyfikować, jako wybuch organicznego polskiego antysemityzmu. Judeopolonia stanowi znakomite alibi, więc pourquoi pas - tym bardziej, że co najmniej od końca lat 90-tych niemiecka polityka historyczna jest ściśle skoordynowana z polityką historyczną żydowską.

Po drugie - warto zwrócić uwagę, że kongres odbył się w Berlinie 12 maja, a niezależne media w Polsce, jak na komendę poinformowały o tym nie, dajmy na to, 13 maja, tylko dopiero 4 lipca! Nawet zakładając - co wydaje się niepodobieństwem - że ów berliński kongres był imprezą starannie zakonspirowaną i żadna informacja ani o jego odbyciu, ani o jego postanowieniach, nie przedostała się na zewnątrz, to znaczy, że 4 lipca ktoś tę imprezę rozkonspirował. Kto mógł to zrobić i w jakim celu? Jeśli to nieprawdopodobne przypuszczenie byłoby trafne, to jasne, że musieli uczynić to

organizatorzy imprezy. Skoro uznali, że 4 lipca już można ujawnić to, czego nie można było za żadne skarby - ujawnić 13 maja, to znaczy, że między 13 maja a 4 lipca jakaś sytuacja zmieniła się w sposób zasadniczy, że w tym czasie musiały zapaść jakieś decyzje i to decyzje nieodwracalne. Wydaje się oczywiste, że w tych decyzjach nasi Umiłowani Przywódcy nie uczestniczyli - że dla nich starsi i mądrzejsi wyznaczyli makagigi w postaci koko koko euro spoko - podobnie zresztą jak w wielu innych sprawach. W takiej sytuacji decyzje owe musieli podjąć nie tylko strategiczni partnerzy, tzn. Niemcy i Rosja, ale również - miłujący pokój Izrael, a skoro i on - to także nasz największy sojusznik w NATO, czyli USA pod kierownictwem administracji Baracka Obamy - z naszego punktu widzenia najgorszej od czasów Franklina Delano Roosevelta. Mamy zatem znowu scenariusz rozbiorowy z udziałem trzech państw i aprobatą czwartego.

Wreszcie ostatnia sprawa - świadoma dyscyplina niezależnych mediów. Bo jeśli berliński kongres, jaki odbył się w Berlinie 12 maja, nie był imprezą ściśle zakonspirowaną, to fakt jednoczesnego ukazania się informacji o nim w niezależnych mediach głównego nurtu w Polsce jest bardzo poważną poszlaką, iż w mediach tych obowiązuje świadoma dyscyplina. - Kto tę dyscyplinę narzucił i kto ją egzekwuje? Czy przypadkiem nie oficerowie prowadzący? W demokratycznym państwie prawnym, zwłaszcza urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej, bardzo ważne są masowe nastroje. Jakże tedy miejsca, w których te masowe nastroje są wytwarzane, mogłyby pozostać zaniedbane przez okupujących nasz nieszczęśliwy kraj bezpieczniaków? Nie ma takiej możliwości, przeciwnie - właśnie ten odcinek musi być przez nich szczególnie penetrowany i kontrolowany. A Skoro tedy, przy tak ścisłej kontroli udało się nałożyć skuteczną surdynę na informację o berlińskim kongresie prawie aż na dwa miesiące, to znaczy, że świadoma dyscyplina w niezależnych mediach jest znacznie większa niż nam się wydaje.

[Felieton „Nowy Ekran” (www.nowyekran.pl) 9 lipca 2012]

Stanisław Michalkiewicz - <http://michalkiewicz.pl/tekst.php?tekst=2550>

IGRANIE Z CHMURAMI NA POLSKIM NIEBIE?

Z wielu rejonów Polski, a zwłaszcza z miejsc na terenach dotkniętych w ostatnim okresie ulewnymi deszczami i burzami, otrzymujemy od licznych osób niepokojące sygnały. Według tych - pokrywających się ze sobą informacji - wszystkie one mówią o pojawianiu się co pewien czas samolotów pozostawiających za sobą dziwne smugi na niebie. Według naocznych świadków samoloty te widoczne były właśnie w tych rejonach polskiej przestrzeni powietrznej, w których - wkrótce po ich przelocie - powstawały niespodziewanie potężne chmury deszczowe, i niebawem występowały nadzwyczaj obfite opady.

We wszystkich tych przypadkach obecność takich samolotów została odnotowana przez naocznych świadków jako szybko przemieszczających się, na dużych wysokościach, i w kolejnych sektorach powietrznych. Samoloty te zostały zauważone wielokrotnie, o różnych porach dnia, i przez wiele osób.

We wszystkich wymienionych wyżej przypadkach nie chodzi - zdaniem obserwujących - o ‘normalne’ kondensacyjne smugi, jakie zawsze powstają po przelatujących samolotach odrzutowych i które w dość szybkim czasie znikają z nieba. Chodzi o takie smugi, które powstając w ślad za przelatującymi samolotami, tworzą na niebie długo utrzymujące się pasma chmur. Te zaś przypominające nibychmury pasma, sztucznie wytworzone przez samoloty z zauważalną trudnością rozpraszają się i nie od razu z nieba znikają. Wszystkie te charakterystyczne smugi widoczne są na niebie jako pasma do siebie równoległe, często ze sobą krzyżujące się.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że owe ‘ślady’ na niebie, to normalne smugi kondensacyjne, powstające po przelotach samolotów odrzutowych. Jednak obserwujący zauważyli, że wszystkie te długie na kilometry smugi, w przeciwieństwie do smug kondensacyjnych powstających po wielu innych przelatujących samolotach odrzutowych, ani - w takim samym czasie - nie znikają z nieba, ani nie wydają się być dla obserwujących takie same. Zdaniem oglądających smugi te swoim wyglądem różnią się od innych! Utrzymują się, stopniowo rozrastają, i w widoczny sposób coraz bardziej rozpraszając się, wkrótce pokrywają sobą coraz większe połacie nieba.

Co więcej, na zdjęciach wykonywanych w maksymalnych zbliżeniach przez teleobiektywy a nawet przez użyty astroteleobiektyw widać dokładnie i wyraźnie, że faktycznie ... to nie mogą być samolotowe smugi kondensacyjne! W świetle przeglądanego materiału filmowo-fotograficznego, można twierdzić, że powstające smugi nie są normalnym efektem pracy działania silników samolotowych. Zdaniem wielu osób to, co pojawia się na niebie, owszem, jest czymś co powstaje jako widoczny ‘śląd’ po przelatujących samolotach, lecz jest jednak nadto także dobrze widocznym śladem czegoś, co przez te samoloty jest w powietrzu rozpylane!

Jeśli taki miałby faktycznie być stan rzeczy, to powstają wówczas podstawowe pytania: czyje to są samoloty i do kogo one należą? Kto za taki stan rzeczy ponosi odpowiedzialność? I jak to w ogóle możliwe, by ktoś latał w polskiej przestrzeni powietrznej - i rozpowszechniał jakiegokolwiek środki bez powszechnego i publicznego informowania o tym wszystkich mieszkańców na danym obszarze?

I najważniejsze w gruncie rzeczy pytanie - co takiego jest rozpylane przez te samoloty nad naszymi głowami? Czego cząstki wdychamy później wraz z powietrzem? Co jeszcze - wraz z deszczem - spada z nieba na nasze głowy i na ziemię: nasze pola, łąki, lasy? Czy to, co jest rozpylane przez owe samoloty nie jest aby szkodliwe dla nas i naszych najbliższych?

Czy nie jest to niebezpieczne dla naszego zdrowia, życia polnych i leśnych zwierząt, rozwoju drzew, traw, zbóż, wszystkich roślin? Czy faktycznie nie jest to zagrożeniem dla życia każdego z nas i całego ekosystemu?

W ślad za takimi podstawowymi pytaniami rodzą się i następne: czy jakiegokolwiek z kompetentnych polskich służb państwowych jak np. Agencja Ochrony Środowiska czy Sanepid - znany jest skład chemiczny substancji podobno rozpylanych przez owe samoloty latające nad terytorium Polski? Czy w ogóle stanowiło to kiedykolwiek przedmiot jakiegokolwiek specjalistycznego zainteresowania tych służb? Czy kiedykolwiek przeprowadzone zostały przez nie jakiegokolwiek analizy pobranych próbek powietrza i opadów - czy znanym i badanym jest właśnie to, co miałyby być przez te samoloty rozpowszechniane?

Te i wiele innych podobnych pytań rodzi się u tych obserwujących, kiedy w ciągu dnia widzą na niebie to ... co mogą na nim sami ewidentnie zobaczyć. A co dopiero może dziać się w nocy, kiedy jest już ciemno? - pyta wielu z tych obserwatorów.

Można być jak najdalszym od różnych podejrzeń i teorii. Dla naocznych świadków fakty pozostają jednak ... faktami! I co można wówczas odpowiedzieć tym wszystkim, którzy z przekonaniem twierdzą, że jednak jest tak, że owe dziwne smugi na naszym niebie to najoczywistszy dowód na trwający **chemtrails** w Polsce? I może jednak wówczas nie tylko rację, ale i bardzo bliscy prawdy są wszyscy ci, którzy mówią, że to co jest rozpowszechniane to wysoce szkodliwe dla człowieka i organizmów żywych pierwiastki, że są to: Glin (Al), Bar (Ba), Bor (B), Wapń (Ca), Chrom (Cr), Miedź (Cu), Żelazo (Fe), Potas (K), Magnez (Mg), Mangan (Mn), Nikiel [Ni], Sód [Na], Ołów [Pb], Krzem [Si], Stront [Sr], Wanad [V], Cynk [Zn]. I że rozpowszechniane są - wysoce szkodliwe pierwiastki których stężenie jest wybitnie podwyższone i znacząco wykracza poza jakiegokolwiek dopuszczalne normy.

Może więc warto poważniej zastanowić się na tym wszystkim. Bo gdyby jeszcze okazać się miało, że wszystko to pozostaje w niezaprzeczalnym odniesieniu i do powstawania wszystkich ulewnych deszczów, i różnych niespotykanych przez nas dotąd zmian stanu warunków atmosferycznych czyli zmian pogodowych, to uzasadnione byłoby także postawienie wielu innych pytań. Bo niewykluczone, że mogłoby to mieć swój istotny związek przyczynowo-skutkowy ze szczególnym występowaniem i nasileniem się zjawisk atmosferycznych na ściśle określonych obszarach itd.

Patrzmy więc w niebo! Warto częściej i z większą uwagą spoglądać ... w niebo! I to nad własną głową! Zwłaszcza, że któregoś pięknego poranka lub popołudnia na własne oczy mogliśmy na nim zaobserwować coś tak niewiarygodnie oczywistego jak np. sztuczne wywoływanie, przy użyciu samolotów, zmian pogodowych. Jak planowe wzbudzenie różnych zjawisk atmosferycznych o czasowo późniejszych - i jednak już możliwych do przewidzenia - skutkach. Zjawisk - o wywoływaniu których, na tak szeroką skalę, nie tylko że dotąd mogliśmy nie mieć najmniejszego pojęcia, ale i o których wciąż nie możemy mieć prawie żadnej głębszej wiedzy. Nie mówiąc już o żadnej oficjalnie na ten temat podawanej nam w mediach informacji.

O. Stanisław Tomoń [2010-06-04] BPJG: www.jasnagora.com

Za: <http://wirtualnapolonia.com/2012/07/10/igranie-z-chmurami-na-polskim-niebie/>

WYRZUCĄ NAS Z MIESZKAŃ I DOMÓW

Rząd polski planuje nowy podatek, który będzie przypominał - strzyżenie owiec razem ze skórą. Ci, co mają duże pieniądze, dadzą sobie radę, gorzej z resztą narodu. Planują wprowadzenie podatku katastralnego - jak się na te zaawansowane już rządowe plany potulnie zgodzimy, to jak owce zabeczmy. Ostatnio, oprócz dyskusji o EURO 2012, siadając przy stołach, najwięcej mówi się właśnie o podatkach. Rząd Platformy Obywatelskiej, jak pamiętamy, podniósł stawkę VAT z 22 do 23 procent, akcyzę na wiele towarów. Od września ub. roku o 3,1 procent wzrosła akcyza na quady, meleksy i skutery śnieżne. Ministerstwo Infrastruktury proponuje opłatę dworcową, senatorzy Platformy - obowiązkowe ubezpieczenie od ryzyka niesamodzielności czyli opłatę od starości. Jest też pomysł płacenia tzw. bykowego od osób samotnych i małżeństw po czterdziestce, które nie mają dzieci. Może rząd, szukając pieniędzy, wprowadzi jeszcze podatek od wiatru czy deszczu? Niedawno w gazetach pojawiło się mnóstwo informacji, że za bardziej wartościowy prezent, nie wyłączając prezentu komunijnego, fiskusowi też należy się haracz... Wiele osób uważa, że rządzący powinni się popukać w głowę. Pieniądze, z których by nas ograbiono na przykład "za prezent" dla dziecka, byłyby jednak niczym w porównaniu do tych, które zamierzają z nas ściągnąć po wprowadzeniu w Polsce *Property Tax*, czyli wspomniany podatek od wartości nieruchomości.

POLE DO POPISU DLA WYCENIAJĄCYCH

Katastralny za progiem, gminy naciskają, licząc, że z tego będą miały wpływ. W sporej części gmin jest gotowy publiczny rejestr danych o gruntach i budynkach, inaczej zwany: zintegrowanym systemem informacji o nieruchomościach, bez tego z podatkiem nie mogliby ruszyć. Jest i przeszkolona armia osób rwących się do pracy i płacy za nią, którzy - gdy zajdzie potrzeba - zajmą się wyceną naszego mieszkania, domku na działce, nawet wybudowanego sposobem gospodarczym. Jesteś prawnym właścicielem nieruchomości, wyremontowałeś rozpadający się dom, jego wartość wzrosła, zapłacisz wyższy podatek. Nikogo nie będzie obchodziło, że wzięłeś na ten remont kredyt, ani to, że

właściciel domu urobił się po pachy. Położyłeś glazurę w łazience - twoja strata, wzrosła wartość kawalerki w bloku, będziesz więcej nosił fiskusowi. Mieszkasz w centrum Warszawy a nie gdzieś na obrzeżach miasta - niestety wartość takiej nieruchomości zazwyczaj bywa wysoka. Taki ci przysolą podatek katastralny, że się nie pozbierasz. Jedyne wartość nieruchomości w *Property Tax* się liczy, a nie np. jej wielkość; uznano, że tak będzie bardziej sprawiedliwie, ale nikt nie zaprzeczy o pięknym polu dla tych, którzy będą wyceniać.

BOGATY SIĘ UŚMIEJE, BIEDNY - DO ŚLUMSÓW

Mówią, że katastralny przyszyje bogatych, zapobiegnie pokoleniowej kumulacji kapitału, bogacz już nie będzie miał pięciu pałaców, ale tylko cztery, jeden będzie musiał prawdopodobnie sprzedać, żeby należność oddać fiskusowi. Ale, jak dobrze wiemy bogaty sobie zawsze poradzi, gorzej z wykluwającą się u nas niemrawo, klasą średnią niższą, którą nowy podatek zmusi wiązać koniec z końcem, a ludzi klasy finansowej najniższej wyrzuci do slumsów. Dlatego nie można dopuścić do wprowadzenia u nas katastralnego. Do tej pory podatnicy posiadający nieruchomości lub grunty, płacą podatki uzależnione od posiadanej lub zajmowanej powierzchni i na razie tak powinno zostać, chociaż rozwarstwienie społeczeństwa galopuje. Wprowadzenie katastralnego wprowadzić chciał już niejedyn rząd po „okrągłym stole”, zachęcała do tego Komisja Europejska, co najmniej od połowy lat 90-tych. A kroki ku temu poczynił już rząd Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności, ale premier Jerzy Buzek, bał się tego podatku wprowadzić ze względu na spodziewany opór społeczny. Sytuacja jest dzisiaj taka, o czym, dobrze wiemy po doświadczeniach z „reformą emerytalną”, że rząd Donalda Tuska ma w poważaniu wszelkie społeczne opory. Kpi sobie z nich w żywe oczy. Za „odwagę” znajduje uznanie Brukseli i Tel Awihu.

JAKA STAWKA?

Property Tax jest dość powszechnie stosowany w krajach Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju [ang. skrót ŚCD], pomimo, że koszty wdrożenia podatku są wysokie, wzrasta cena wynajmu nieruchomości oraz zagrożenie koniecznością ich sprzedaży przez osoby o niskich dochodach. ŚCD nazywają „klubem państw bogatych”, należy do niego także Polska, ale tak się składa, że jesteśmy w tym klubie bogatych krajem biednym, ciągle na dorobku. Nasze władze doskonale o tym wiedzą, że wprowadzenie katastralnego dla tysięcy polskich rodzin byłoby tragedią, bo wyzjuje je z własności. Dla „strzyżonych” ważna będzie stawka podatku, podawano stawki różne, nawet dochodzącą do 2 proc. Ostatnio, nieoficjalnie mówi się, że stawka miałaby wynosić ok. 1 proc. Gdyby ustalono katastralny na poziomie np. 1,8 proc. [a wszystko jest możliwe] za domek postawiony na działce rekreacyjnej o wartości 100 tys., za który teraz płacimy rocznie mniej więcej ok. 150 zł, fiskus żądałby każdego roku kilka razy więcej pieniędzy, a na działkach lato spędzają zazwyczaj emeryci z wnukami. A za niewielkie mieszkanie w stolicy warte ok. 350 tys. zł, przy stawce podatku w wysokości 1 proc., należałoby zapłacić każdego roku wysoki haracz, za skromny domek jednorodzinny skądś ludzie musieliby wysupłać ok. 5 tys. zł. W razie braku pieniędzy na uregulowanie należności podatkowej, mają wchodzić na hipoteki.

POSŁOWIE POLACY: WYCOFAJCIE SIĘ!

W rezultacie następowałyby wywłaszczenia, nacjonalizacja, następnie sprzedaż domów, mieszkań, działek z domkami tym, którzy posiadają bogatsze portfele. Można przewidzieć, że po cenach nader przystępnych ze względu na dużą podaż. W państwowych urzędach określają takie ruchy pożądaną „zmianą struktury własności”. Jest w nich wyspecjalizowane, jak wiadomo, Ministerstwo Skarbu Państwa zmieniające od lat strukturę własności w Polsce w skali makro. Zakłady państwowe, wielkie i mniejsze przechodzą w ręce prywatne, najczęściej zagraniczne... W tym przypadku nie zastosowano katastru, ale inne, nie mniej skuteczne narzędzia zmuszające do przekształceń. Strona rządowa, jeśli coś o podatku katastralnym mówi, informuje przede wszystkim o tym, że podatek nie będzie uciążliwy dla niezamożnego obywatela, a dobierze się za to do najbardziej zamożnych. To z góry wiadomo, że to nieprawda - już nie raz doświadczyliśmy, jak rząd ze swoimi mediami kłamie - złupi jednych i drugich, przy czym ci pierwsi przeżyją, a być może i nie zapłacą grosza, robiąc korkociągi, na przykład zostaną rzekomymi dzierżawcami swoich nieruchomości, a lewych właścicieli fikus długo będzie szukał. Szef klubu PiS - Mariusz Błaszczak wysłał do premiera Donalda Tuska pismo, w którym to postuluje wycofanie się z przygotowań do wprowadzenia katastralnego. Urzędnicy administracji państwowej pytani o nowy podatek, najczęściej robią maślane oczy. Co? O co chodzi? Jeszcze nie wiemy, może się wkrótce dowiemy.

POSTULAT: MIESZKANIE BYTOWE BEZ PODATKU

Tymczasem już pod koniec ubiegłego roku podsekretarz stanu Ministerstwa Finansów - Maciej Grabowski wyjaśniał dziennikarzom, że zintegrowany systemem informacji o nieruchomościach jeszcze trochę, i będzie pozwalał na wprowadzenie omawianego podatku, a zespół powołany ds. opodatkowania nieruchomości przygotowuje propozycje zmian przepisów. Posłowie Andrzej Adamczyk i Jerzy Szmít powołali się na projekt dokumentu: „Założenia krajowej polityki miejskiej do roku 2020”, w którym jest mowa o podatku katastralnym. Tak więc zdawkowe informacje strony rządowej, że o katastralnym na razie w gabinecie Tuska prawie się nie myśli, może pomyśli się jutro albo pojutrze, nie odzwierciedlają prawdy.

Według Szmita, podatek uderzy w szczególności, w osoby o niskich dochodach, które „przez pokolenia budowały swoje domy, składały wykupienie mieszkań komunalnych” oraz w ludzi młodych. Kataster wiąże się z rynkiem, a jak wiadomo, na rynku rządzą spekulanci - uważają posłowie. A jeżeli podatek od wartości nieruchomości miałby zostać

wprowadzony tylko po to, żeby “przyszczyć” bogatych, prosta sprawa, nie powinien być płacony przez tych, którzy posiadają np. tylko jedno mieszkanie zabezpieczające potrzeby bytowe. Niech zapłacą ci, którzy mają po kilka lub kilkanaście mieszkań, willi, pałaców.

O PODATKACH OD PREZENTÓW ŚLUBNYCH

A propos podatków “od prezentów”, o których ostatnio tak często się mówi. To nie jest wymysł, jak niektórzy uważają - fiskus może rzeczywiście zażądać podatku od droższych prezentów komunijnych, ślubnych, urodzinowych, imieninowych, rocznicowych etc. Urząd skarbowy, może zgłosić roszczenia do obdarowanych. Czas komunii za nami, ale w lecie mamy sezon ślubny, więc zatrzymajmy się przy prezentach dla nowożeńców. Prezenty otrzymane z okazji ślubu są traktowane jako darowizny, podlegają z tego tytułu podatkowi od spadków i darowizn. Czy i ile podatku zapłacą obdarowani zależy od tego, do jakiej grupy należą oni oraz ich darczyńcy.

Dzieci i rodzice znajdują się w grupie podatkowej zerowej, a w tej grupie nikt nie musi się przejmować podatkiem. Są [nieliczni] rodzice wyjątkowo hojnie obdarowujący swoje dzieci gotówką. Powinni to zrobić przelewem, zasilając konto bankowe obdarowanego czy obdarowanej. Przekaz pocztowy też nie jest zły. Pokażną darowiznę ślubną - pieniężną czy rzeczową powinno się zgłosić do urzędu skarbowego w ciągu sześciu miesięcy. Duża suma przekazana “w kopercie” do ręki nie jest dobrym pomysłem, ponieważ wówczas nowożeńiec straci nielimitowane zwolnienie podatkowe. Zgłoszenie darowizny o dużej wartości do urzędu skarbowego jest korzystne dla podatnika w przyszłości, który może powołać się że otrzymał [spore pieniądze, mieszkanie] w prezencie ślubnym. A propos mieszkań - urzędy skarbowe bieżąco są informowane przez notariuszy o transakcjach zakupu. Tyle o zawilościach niebiednych z grupy “zero”. Natomiast synowa, zięć i teściowie zaliczani są do grupy pierwszej. Dla tej grupy kwota wolna od podatku wynosi 9,637 zł - taki limit dotyczy darowizny otrzymanej od jednej osoby w ciągu pięciu lat. Prezenty ślubne niższej wartości w tej grupie nie są opodatkowane.

Wiesława Mazur - Głos Polski [nr 28 4-10.07.2012]

ELITY III RP – CZĘŚĆ III

Zdarzały mi się takie osobliwości: kierownik, który sam jest Polakiem - macha ręką: „Kto ich tam wie? Kto może odgadnąć jaki kamień każdy z nich chowa w zandarczu?”

Po wyładowaniu w 1944 roku w Lublinie „wyższych kadr ideologicznych dla przyszłego rządu komunistycznego w Polsce” przyszedł czas na import „średniej warstwy inteligencji polskiej”. Z jakich ludzi składała się ta nowa „warstwa inteligencji”, „nowa klasa polityczna i kulturalna”, na co zwrócił uwagę wspomniany wcześniej prof J.Drewnowski, zobaczymy później.

Po wyparciu niemieckiego okupanta i przejściu okupacji Warszawy przez wojska sowieckie, banda żydowsko-kominternowska spod znaku „rządu lubelskiego” przeniosła się do Warszawy i połączyła z Gomułką i jego PPR-em. Rozpoczął się okres intensywnej rozbudowy aparatu ucisku, stosującego krwawy terror i skrytobójcze mordy wymierzone w resztki ocalałej z pożogi wojennej polskiej klasy politycznej i kulturalnej. Problemem, przed jakim stanęli komuniści, był wielki niedostatek ludzi, rdzennych Polaków, gotowych włączyć się w realizację planów przybyłej ze wschodu bandy międzynarodowego trockizmu. Robiona przez nich „rewolucja potrzebowała aparatu, a zgłaszał się mało kto - lud tego kraju wcale nie był rewolucyjny, zresztą każdy lud jest konserwatywny, a pierwszą fazę rewolucji zawsze robi inteligencja” - pisał w swej książce pt. „Widziane z góry” Stefan Kisielewski [Tomasz Staliński], wydanej w 1967 roku przez „Kulturę” paryską. S.Kisielewski był posłem na sejm PRL-owski, dlatego widział dużo rzeczy „z góry”. Zażydzenie władzy również. Píše przy tym, że dużą chęć wejścia do partii wykazali Żydzi, których przyjęto: „Z otwartymi rękami”.

„Rewolucja komunistyczna w Polsce nie była wyrazem dążeń mas ludowych, robotniczych, mieszczaństwa, ani nawet dziełem inteligencji polskiej. Nie była to w ogóle rewolucja. Był to ustroj wprowadzony siłą przez Sowiety pod fikcyjną firmą komunistów polskich.

Komuniści-Polacy stanowili małą liczebną grupę. Rekrutowali się głównie z warstwy działaczy robotniczych. Umysłowość ich była na poziomie wiecowych demagogów, wyszkolonych na kursach partyjnych. Byli fanatykami, dobrze opanowali technikę organizacyjną, ale nie byli zdolni do budowania nowego ustroju w zasięgu państwa.

Potrzebowali licznych kadr inteligencji. Kadr tych dostarczyli Żydzi”. - pisał Stefan Nowicki w swej książce pt. „Wielkie nieporozumienie” [wydanej w Sydney, Australia, 1970].

I dalej uzupełnia: „Były wprawdzie duże jeszcze kadry aparatu administracyjnego i siły fachowe z okresu przedwojennego oraz szkolone w czasie okupacji, ocalałe z pogromu, ale były tępione, niszczone i prześladowane, jako „reakcjonisci”. Toteż symbolem nowego ustroju stali się zniechęceni oficerowie bezpieczeństwa, prokuratorzy, sędziowie, cenzorzy, a więc głównie Żydzi oraz partyjni Polacy”.

Jeden z czołowych żydowskich UB-eków, pułk. Józef Światło [Izaak Fleischfarb], który osobiście aresztował W.Gomułkę, tak scharakteryzował potencjał polityczny miejscowych (tubylczych) komunistów w Polsce:

„Kiedy w roku 1944 Bierut i jego klika przejmowali władzę w Polsce z rąk sowieckich, zdawali sobie sprawę, że stanowią mikroskopijną grupkę w społeczeństwie polskim. W czasie kampanii wyborczej do Sejmu w roku 1947 Zambrowski chwalił się, że PPR posiadało w chwili zakończenia okupacji niemieckiej dwadzieścia tysięcy członków. Liczba ta istniała tylko w bujnej imaginacji Zambrowskiego. W rzeczywistości na olbrzymich terenach kraju nie istniała ani PPR ani poważniejsza AL. A nawet pod okiem samej centrali, poza Warszawą, Płockiem, Mińskiem i Pruszkowem nie było śladu organizacji partyjnej”. (Zobacz: Z. Błażyński, „Mówi Józef Światło - Za kulisami bezpieki i partii”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1985, str. 205).

Po 1945, głównie na skutek działania lobby Herscha Smolara i Adolfa Bermana [„Fracja PPR”], przysłano ze Wschodu do Polski - w ramach tzw. repatriacji - dodatkowo ponad 250 tysięcy Żydów. To na dodatek do tych ćwierć miliona, których uratowali miłosierni Polacy. W ten sposób znalazło się w Polsce po II wojnie światowej pół miliona Żydów. Trochę ich wyjechało na Zachód a potem do Izraela, ale większość została. Rozmieszczeni zostali głównie w Warszawie (najwięcej), w Krakowie, w Łodzi i we Wrocławiu.

I znowu, jak przed laty w Związku Sowieckim, robiono teraz z nich „Polaków” zmieniając nazwiska na polsko-brzmiące i obsadzania nimi najwyższych stanowisk w administracji państwowej głównie w resortach siłowych [wojsko, UB, Informacja Wojskowa - kontrwywiad] oraz innych kluczowych, jak propaganda, cenzura, sprawy zagraniczne, aparat partyjny itp. Jak tym razem przebiegał proces zmiany nazwisk i tworzenie kolejnej nowej warstwy „inteligencji polskiej” informuje nas postkomunistyczne pismo „Przegląd” z 7-III-2008 r. [zob. też http://wiadomości.onet.pl/1473976,1292,1,czy_marzec_1968-_r_byl_nieuchronny]. Dowiadujemy się tam - cytując:

»Gomułka był postacią niepopularną wśród żydowskich komunistów w PPR. Jeden z przywódców żydowskiej sekcji etnicznej w PPR [tzw. Frakcji PPR], Grzegorz Smolar, zarzucał mu m.in. opór wobec repatriacji polskich Żydów z ZSRR w 1945 r., umniejszanie znaczenia walk w getcie warszawskim, podkreślanie monolityczności etnicznej Polski Ludowej. Równocześnie jednak według Smolara, to właśnie Zofia Gomułkowa nadawała działaczom pochodzenia żydowskiego polskie nazwiska, by mogli oni objąć wysokie stanowiska, „nie rażąc swoim pochodzeniem”. Hersz Smolar który przyjechał z ZSRR do Polski latem 1946, tak opisał w swoich wspomnieniach procedurę zmiany nazwisk towarzyszom pochodzenia żydowskiego: „Zalman [Zygmunt] Kratko przedstawił mnie Zofii, tak po domowemu nazywano żonę Gomułki, która pracowała wtedy w wydziale kadr [KC]. Wówczas już wiedziałem o swoistym procederze chrztu [hebrajski szmad], który odbywał się właśnie w tym wydziale przy pomocy Zofii. Dotyczył on żydowskich działaczy komunistycznych, o których się martwiono. Na wszelki wypadek zmieniano im imiona i nazwiska na brzmiące po polsku, czyniąc z nich czystych rasowo Polaków. Prawdopodobnie z żydowskiego środowiska pochodziło żartobliwe określenie takich działaczy mianem „POP”, skrót od słów „pełniący obowiązki Polaka”».

Wówczas także kursowało trafne powiedzonko, które charakteryzowało kryterium jakim się posługiwała Zofia przy wyznaczaniu żydowskiemu komuniście pracy. Zwykle mówiła ona patrząc na towarzysza: »Twarz jak twarz [to znaczy człowiek może jeszcze uchodzić za Aryjczyka], ale nazwisko...«. O niej samej ukuto odwrotne powiedzenie: »Nazwisko i imię, jak nazwisko i imię [żona Gomułki], ale twarz - niech ją Pan Jezus weźmie w opiekę«. - Zofia była niskiego wzrostu, okrągła, o typowo semickiej twarzy”.

Po tej operacji zmiany nazwisk otrzymaliśmy parę dywizji nowych „czystych” Polaków; nowej przyszej „polskiej inteligencji” i „autorytetów moralnych”, gotowych do sprawowania władzy w Polsce. Kiedy po latach I sekretarz KW PZPR w Gdańsku powiedział publicznie, że wśród doradców NSZZ „Solidarność” ponad 80% stanowili Żydzi i że więcej ich było tam, niż po stronie „rządowej” - mógł zapomnieć o karierze politycznej w III RP po 4 czerwca 1989 r. Za ujawnienie tego faktu dostał posadę radcy handlowego poza granicami Polski. No dobrze, ale co stało się z potomkami tych „POP”? Ilu dzisiaj mamy takich nowych „POP”? Oto pytanie! Spróbujemy znaleźć na nie odpowiedź w dalszej części.

Pierwszy po II Wojnie Św. ambasador włoski w Polsce, Eugenio Reale, nb. komunista włoski, donosił w 1946 r., w swych raportach, że w „dzisiejszej Polsce nie ma antysemityzmu”. Żydzi biorą udział we władzy, i mają drogę otwartą do wszystkich stanowisk państwowych, i dodaje przy tym, że takiej otwartej drogi do stanowisk państwowych nie mieli rdzenni Polacy. W swym „Raporcie” datowanym 30 czerwca 1946 donosi, że - cytując: „Bez względu na poparcie jakiego udziela rząd polski Żydom oraz fakt, że wielu z nich wchodzi w skład samego rządu, lub zajmuje wysokie stanowiska w różnych działach administracji kraju, powinny nasuwać przypuszczenie, że Żydzi polscy mają raczej więcej danych na to, by pozostać w Polsce niż wyjeżdżać. Tymczasem sprawa przedstawia się na ogół inaczej”.

Pisze przy tym, że dawna polska klasa polityczna [tzw. „uprzywilejowana”], tzn. „klasa właścicieli ziemskich, wojskowych i funkcjonariuszy, którzy pozbawieni zostali urzędów i majątków, usiłuje obecnie zarabiać na życie prowadząc różne drobne przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe [środki transportowe, pośrednictwo, restauracje itd.]; wchodzi ona w ten sposób w sferę działania, która była monopolem Żydów przed wojną”.

Jak już wcześniej wspomniałem, wielu Żydów z tych ponad 250 tys. [niektóre źródła operują liczbą ponad 300 tys.], którzy przybyli trochę później ze Wschodu w ramach tzw. repatriacji, wyjeżdżało dalej na Zachód lub później do Izraela. E. Reale pisze, że - cytując: „Gdy niedawno zapytano jednego z Żydów dlaczego postanowił wyjechać z Polski, odpowiedział: kiedy w Polsce Żydzi handlowali a nie-Żydzi rządzą można było w niej żyć, lecz teraz gdy Żydzi rządzą, a nie-Żydzi

handlują to lepiej z niej wyjeżdżać”. (Zobacz: Eugenio Reale, „Raporty - Polska 1945-1946”, seria „Dokumenty” nr. 24, wyd. Instytut Literacki, Paryż, 1968, str. 209-210).

W końcu 1944 r. jeden z ówczesnych przywódców komunistycznych, E. Ochab, zaniepokoił się małą ilością robotników w szeregach PPR. Zwłaszcza dawało się odczuć brak robotników folwarcznych: *„Tym ludziom trzeba dać szansę awansu społecznego”* - mówił Ochab.

Rozpoczęto kampanię agitacji i naganiania do PPR robotników folwarcznych. Chodziło o to, żeby tym zabiegiem przyprawić partii jakieś polskie korzenie; że w partii są też Polacy. Robotnicy ci, w przytłaczającej większości byli analfabetami, toteż otrzymywali z tej racji niższe, szeregowo, tzn. niedecyzyjne, stanowiska w milicji, w ORMO, w służbie więziennej, w aparacie partyjnym i innych organach władzy „ludowej”, gdzie nie była wymagana umiejętność pisania i czytania. A sztuki czytania i pisania uczyli ich później, w chwilach wolnych od zadań. Zaś ci, którzy umieli trochę czytać i podpisać się, obdarzano stanowiskami, np. wicestarostów, gońców w biurach, strażników więziennych, podoficerów w UB i w innych resortach siłowych. Jako przykład można tutaj przytoczyć Mariana Cimoszewicza [Goldsteina], ojca Włodzimierza Cimoszewicza, który po tzw. „okrągłym stole” był marszałkiem Sejmu i kandydatem na prezydenta „III RP”. Marian Cimoszewicz [ojciec], po okresie kolaboracji z bolszewikami w Białymstoku, zrobił po 1945 r. szybką karierę w zbrodniczej Informacji Wojskowej. W tym okresie aresztował wielu oficerów AK, wyrzucając ich na margines społeczny. Ilu z nich poniosło śmierć, tego dokładnie nie wiadomo. Kiedy dokonywał tych aresztowań, miał stopień majora, a wykształcenie żadne. Maturę zdał w 1957 roku.

Rozdawanie stanowisk tak w administracji jak i w partii rozmaitym, nieznanym elementom spowodowało, że już w 1945 r. dały się słyszeć szeroko głosy, iż PPR należy „prześwietlić rentgenem” i połowę członków po prostu wyrzucić z partii, bo „niedorośli jeszcze poziomem swego uświadomienia, aby być członkiem partii”. W związku z tym powołano „Komisję Kontroli Partyjnej”. Komisja ta miała dużo roboty - pisze wspomniany J.K. Kwiatkowski w swej książce. Przystąpiła do pracy w czerwcu 1945 r., i w ciągu pięciu miesięcy otrzymała 829 skarg oficjalnych. W tej liczbie było m.in. za szaber, kradzież, łapówki, rabunek itp. 329 spraw; za nadużycie stanowiska 52; za współpracę z okupantem niemieckim 61; za prowokację 15; za „sympactwo” 122; wiele innych 199.

Jakiemu gatunkowi ludzi rozdawano stanowiska?

Tu dla przykładu: Gestapowiec, Artur Jastrzębski vel Ritter pracował w warszawskim Sonder Komando. Po wojnie został dyrektorem departamentu w UB. Następnie szefem departamentu kontrwywiadowczego, potem był attache wojskowym w Rzymie. (Zob. „Kultura” paryska, Nr. 6/273 1970 r.).

Inny przykład przytaczają, Piotr Głuchowski i Marcin Kowalski: *„Między 18 a 20 stycznia (1945 r. - dopis. W.G.) w Aleksandrowie pojawili się wysłannicy rządu lubelskiego z Nachnumen „Antkiem” Alsterem na czele - żydowskim komunistą z Rzeszowa, późniejszym wiceministrem spraw wewnętrznych i posłem. Zorganizowanie władzy ludowej zajęło mu kilka godzin. Przedwojenny burmistrz, który zgłosił się do pracy, został pogoniony. Jego następcą „Antek” mianował niepiśmiennego Franciszka Pawlaka - przed wojną robotnika sezonowego, złodzieja i gwałciciela, skazanego na 8 lat więzienia za napad. Funkcję komendanta posterunku MO, objął inny złodziej - Mateusz Pawlak, brat burmistrza nowo mianowanego, znany wśród lokalnej bandyterki jako „Mateusz” lub „Kulos”. Sam wypisał sobie legitymację, na dole dopisując: »posiada broń krutkom«. - Jak widać, umiał pisać, znał też parę słów po niemiecku. Dr. Tomasz Krzemiński, historyk PAN, opowiadając te zdarzenia, nie przestaje chodzić po niewielkim gabinecie: - Przed wojną „Mateusz” pił, kradł i kręcił się wśród komunizującego lumpenproletariatu Aleksandrowa i Włocławka. Prawdopodobnie donosił na kompanów do policji politycznej. W czasie wojny z pewnością współpracował z gestapo*”. [Zob. <http://www.radiopomost.com> z 17.05.2011].

W drugiej połowie lat 1940-tych i w latach 1950-tych krążyła anegdota, ukazująca rodowód i korzenie dzisiejszych elit z genami polskich szumowin: - *„Do ministra, do domu, telefonuje kobieta. Słuchawkę podnosi żona i pyta kto mówi, odpowiedź, że to koleżanka pana ministra ze szkolnej ławy żona wybucha: - A wydałaś się ty k..., minister do żadnych szkół nie chodził”*.

Bardziej ukazuje nam okoliczności rodzenia się nowych „elit” PRL-owskich i „III RP”, żona czołowego żydowskiego ideologa PZPR-owskiego, Romana Werfla, w rozmowie z żoną innego bandziora żydowskiego, wicepremiera Hilarego Minca: *»Obie panie, to jest Julia Mincowa i Edda Werfel, utrzymują stosunki towarzyskie i prowadzą często dosyć nieostrożne rozmowy. Towarzyszka Julia skarżyła się np. pewnego dnia, że nie może dostać kucharki. Na co Edda z miejsca odpowiedziała: - „Cóż w tym dziwnego, skoro wszystkie kucharki zostały żonami ministrów”*«.

Cytowany wcześniej autor pracy „Komuniści w Polsce” pisze, w innym miejscu (str. 82), że: **„Największa słabość PPR polega na tym, że jest ona mozaiką najróżnorodniejszych elementów podlego gatunku moralnego, których przyciąga i łączy jedynie władza oraz przywileje i korzyści z nią związane”**. Coś w tym musi być, bo przyglądając się bliżej dzisiejszym tzw. „elitom” pookrągłostołowym, dziedzictwo tych właściwości rzuca się w oczy nad wyraz ostro. Ale oni sami tego nie dostrzegają. Zapewne nie mają do tego predyspozycji z powodu odziedziczonych po rodzicach ograniczenia intelektualnego, mentalności Żyda, opryszka i koniokrada.

Z jakich elementów tworzono aparat władzy komunistycznej można dzisiaj dowiedzieć się bardzo dużo z internetu. [Np. zob. wikipedia, *Polscy Żydzi*]. Tutaj przytoczę tylko parę innych przykładów. W książce pt. „Widziane z ławy obrończej”, A. Steinbergowa wymienia konfindenta i zaufanego szofera gestapo, Urbańskiego, który po wojnie został „sekreterzem powiatowego czy też zakładowego komitetu PZPR w Łęborgu”. Natomiast inny konfident gestapo, Wierciak, po wojnie był wojskowym prokuratorem w Poznaniu. W broszurze pt. „Świadek historii - Judeopolonia”, [wyd. z serii „Zeszyty Historyczne”, nr. 22, Wa-wa], autor podaje przykład PRL-owskiego sędziego, Nizilińskiego. W czasie okupacji niemieckiej, był sędzią u Niemców w Poznaniu. Po wojnie wyjechał do Olsztyna i tam został przez PPR mianowany sędzią tzw. ‘Sądu Wojskowego’. W czasie funkcjonowania w stopniu majora UB, jako sędzia wojskowy z ramienia „władzy ludowej”, wykonywał bez zmużenia każde jej polecenia, sypiąc na patriotów polskich wyroki śmierci, dożywocie i długoletnie więzienia.

„Prawda o roku 1945, o nieszczęściu kraju w którym zmontowano na prędcie aparat władzy z rzezimieszków i bandziorów, nigdy nie została opowiedziana, przysypały ją zmyślenia i bajki. Dotychczas nie jest dla mnie jasne ilu z tych, co (jak ja) godzili się na konieczność, zdołało tak sobie żalobne narodziny nowego państwa zracjonalizować, że zapomnieli o świadectwie własnych oczów”. (Gustaw Herling-Grudziński, „Kultura”, nr. 7/298-8/299, 1972 r., str. 43).

W 1968, kiedy w kolejnym biegu rozstawnym do władzy w PRL, niedawna „Fracja PPR” [Berman, Zambrowski i spółka”, tzw. puławianie”] wyleciała na zewnątrz, głos zabrał ówczesny prezes ZBOWiD-u, i jednocześnie minister spraw wewnętrznych, generał Mieczysław Moczar. Udzielił on wywiadu „Życiu Warszawy” [Nr. 90/91, w 13/14/15 marca 1968 r.].

Zanim przejdę do zacytowania Mieczysława Moczara, muszę tu na chwilę zboczyć z tematu: - W opinii KPP-owców i ich potomków, komunista Moczar był kimś **be**, osobnikiem moralnie obrzydliwym; był kimś, kogo należy unikać i nie widzieć w nim nic pozytywnego. Zaś powołanie się na niego dyskwalifikuje powołującego się moralnie i kulturalnie, nie mówiąc już, że osobnik taki staje się tym samym podejrzanym i niewiarygodnym. Lewica, pociotki i bastardy KPP-owskie z Alei Róż, Parkowej i Alei Przyjaciół, no i dzisiaj z ul. Czerskiej w Warszawie, mają prawo mieć swoje żydowsko-kominternowskie mniemania i swoją siatkę poglądów. Ich polskie papugi i szabesgoje również. Ale, czy etniczni Polacy też mają być mentalną kopią tychże ludzików? Jeżeli uważają, że nie mają alternatywy, to trzeba to uznać, ale nie tolerować. Niech więc powiedzą pociotki KPP-owskie i PZPR-owskie otwarcie, na czym polega wyższość moralna bandziorów i zbrodniarzy żydowskich takich, jak Berman, Zambrowski, Minc, Brystygierowa, Różański, Feigin, Romkowski i reszta, od Mieczysława Moczara i jego współników?!

I tutaj dochodzimy do punktu, kto jest bardziej wiarygodny, Berman i jego pobratymcy, czy Moczar? Obaj komuniści i obaj członkowie zbrodniczej UB. Mówi się i pisze o „moczarowcach”, o „moczarowskich poglądach”, o „moczarowszczyźnie” etc., i to w taki sposób, żeby ludziom kojarzyło się to z „faszystowskimi” poglądami i z „fasyzmem” w ogóle. Ale o bermanowcach, o bermanowszczyźnie, o bierutowcach, goldbergowcach [Różański] i tym podobnych typach nie wspomina się wcale, żeby ludzie, nawet ci najgłupszy, czegoś nie zaczęli kojarzyć. Na czym zatem opinie, konkluzje i mniemania ludzi z obozu Bermana (dziś stadnina Michnika) są bardziej wiarygodne od poglądów zwolenników gen. Moczara? Zostawmy te pytania otwartymi. Niech na nie odpowiedzą sobie sami czytelnicy i zainteresowani tą problematyką.

Wracając do tematu, od którego odbiegłem, czyli do wywiadu M. Moczara udzielonego w w marcu 68 r. dla „Życia Warszawy”. Cytuję:

„(...) Nie sposób jest przy tej okazji pominąć jeszcze jednego problemu, o którym do niedawna milczało się. Mam na myśli fakt przyjscia do nas razem z bohaterskimi żołnierzami **pewnych polityków** [podkr. moje - W.G.] przybranych w płaszcze oficerskie, którzy później uważali, iż z tego tytułu tylko im - Zambrowskim, Bermanom, przysługuje prawo do przywództwa, monopol na określenie tego, co jest słuszne dla narodu polskiego. Fakt ten był wówczas wyrazem niewiary w nas. Od tego zaczęło się zło, które trwało do 1956 r. Ludziom tym, choć mieli usta pełne frazesów o jedności, nie odpowiadało to, że nasza partia, PPR, głosiła hasło szerokiego frontu narodowego, frontu, w którym byłoby miejsce dla każdego polskiego patrioty, pragnącego wydzwignąć swoją ojczyznę, uczynić ją zamożniejszą, światlejszą, jeszcze piękniejszą. Jakże wymownym jest - warto i o tym przy okazji przypomnieć - iż właśnie z tego względu ludzie pokroju Radkiewicza, Romkowskiego, Mietkowskiego, Różańskiego czy Światły i Fejgina prześladowali później rzeźników hasel szerokiego, patriotycznego frontu narodowego, sprawie ich nadając kryptonim ‘bagno’. Dla nich partiaci byli bagnem [...]”.

CDN

Władysław Gauza - Wrzesień 2011

Za: <http://wiernipolsce.wordpress.com/2011/12/28/elity-iii-rp-rodowod/>

POLSKĄ RZĄDZI KONSORCJUM SŁUŻB SPECJALNYCH RÓŻNYCH PAŃSTW

Z Grzegorzem Braunem - reżyserem-dokumentalistą, nauczycielem akademickim, publicystą rozmawiała Aldona Zaorska

Kontrola nie jest doskonała, jeśli każdemu trzeba mówić, co ma robić. Kontrola jest pełna, jeśli poszczególne stanowiska są obsadzone „swoimi” ludźmi, którzy bez specjalnych poleceń wiedzą, jaki przekaz przygotować. Dla pełnej kontroli agentura musi być także w mediach i dokładnie tak jest skonstruowany ład medialny w III RP. Przypomnę tylko, że kreowanie „ładu medialnego” zostało powierzone ludziom, których niejako ręcznie wyselekcjonowali jeszcze Jaruzelski i Kiszczak. Spektakularnym przykładem jest tu postać pana Mariusza Waltera - ojca - założyciela jednego z najważniejszych w systemie propagandowym III RP koncernu medialnego, którego w stanie wojennym rekomendował Jaruzelskiemu osobiście Jerzy Urban.

Jest pan reżyserem, a jednak Pana filmów próżno szukać w programach telewizyjnych...

Istotnie tak jest obecnie, ale w swoim czasie kilka filmów mojego autorstwa znalazło się w pierwszej dziesiątce najlepszych wyników „oglądalności” w TVP. Przykładem „Towarzysz Generał”, którego jestem współautorem wraz z kolegą Robertem Kaczmarkiem - ten film obejrzało ponad 3,5 mln Polaków, co jest do dziś niepobitym rekordem oglądalności filmu dokumentalnego w historii TVP. Jednak ta reżimowa telewizja, zwana gołosłownie „publiczną”, po nagonce zainicjowanej przez „Wyborczą” nigdy więcej „Towarzysza generała” nie pokazała - i do dziś odmawia zgody na sprzedaż licencji na wydanie tego filmu na płycie.

„Towarzysz generał” został „półkownikiem”... Zupełnie, jak za komuny...

Istotnie, trudno oprzeć się takim skojarzeniom. Między innymi dlatego w zeszłym roku zrobiliśmy w tym samym tandemie z Robertem Kaczmarkiem sequel: „Towarzysz generał idzie na wojnę”. O ile ten pierwszy film opowiada o całokształcie dokonań Wojciecha Jaruzelskiego jako czołowego komunistycznego sprzedawczyka o tyle ten drugi skupia się na kulminacji jego działalności jako sowieckiego namiestnika nad Polakami, jakim było przygotowanie i wprowadzenie stanu wojennego. Tego drugiego filmu TVP nie może już zaarrestować - powstał on bowiem za prywatne pieniądze i jest dostępny na płytach wydanych przez Dom Wydawniczy Rafael z Krakowa.

A propos towarzysza generała Jaruzelskiego, na pewno słyszał Pan, że jest przez niektórych uważany za „matroszkę”...

Znam tę teorię i muszę powiedzieć, że natknąłem się na co najmniej pół tuzina świadectw znanych mi z drugiej lub z trzeciej ręki, które wzmacniają hipotezę, że generał Jaruzelski jest sowieciem wstawionym w biografię polskiego chłopca. Natknąłem się na rozmaite relacje, które tę frapującą hipotezę uprawdopodobniają, tym niemniej w obu filmach zdecydowaliśmy, że będziemy relacjonować wyłącznie udokumentowane fakty. Wyszliśmy z założenia, że kimkolwiek ten człowiek jest z pochodzenia i z urodzenia, to niewątpliwie jego biografia ma ciągłość i spójność od roku 1943 - i od tego roku - ten człowiek - kimkolwiek jest, konsekwentnie reprezentuje i realizuje sowiecką rację stanu wobec Polaków. Dla mnie to jest bezdyskusyjne, niezależnie od tego, czy językiem jego urodzenia był polski, czy rosyjski.

Czyli, jak Pan już to kiedyś powiedział, w Polsce rządziła agentura? Nadal rządzi?

W Polsce reprezentowane są bardzo silnie i skutecznie racje stanu co najmniej kilku państw, z których to żadne nie jest państwem polskim. Mówiąc wprost - Polską rządzi konsorcjum służb specjalnych, reprezentujących kilka różnych państw i boję się, że w tej „konstelacji” służby polskie, jeśli jeszcze istnieją, są w głębokiej defensywie i możliwości ich działania, przede wszystkim realizowania polskiej racji stanu - są bardzo mocno ograniczone.

Co to za konsorcjum?

Można powiedzieć - międzynarodowe. Głównym jego udziałowcem jest Moskwa, establishment postsowiecki, w którym zmieniają się tylko twarze, co najlepiej widać na przykładzie obejmowania stanowiska prezydenta Rosji przez Putnia i Miedwiediewa. Drugim „udziałowcem” jest Berlin - niemieckie interesy realizowane są w Polsce już bez osłonek, zwłaszcza od kiedy ambasadorem państwa niemieckiego w Warszawie został p. Rüdiger Freiherr von Fritsch, którego poprzednim miejscem pracy był Urząd Ochrony Konstytucji czyli BND a mówiąc wprost - niemiecka bezpieka. To jest rzecz, oględnie mówiąc, dosyć rzadka aby ambasadorem, dyplomatą był ex-wiceszef bezpieki. Otóż moja hipoteza badawcza jest taka, że najwyraźniej te znajomości, które pan ambasador jeszcze jako młody dyplomata niemiecki zawarł w Warszawie, w latach osiemdziesiątych (a można było o tym przeczytać chociażby w „Polityce”) z szeregiem przedstawicieli ówczesnej opozycji, nie mogły mieć innego wymiaru i waloru poza służbowym. Bardzo ciekawe jest więc, jak dzisiaj te znajomości procentują i kogo pan ambasador dzisiaj prowadzi.

A prowadzi?

Niemcy to poważne państwo - nie przypuszczam by czas, talent i dorobek życiowy takich wybitnych funkcjonariuszy, jak Von Fritsch, mógł być trwoniony przez powierzanie im zajęć nie mających związku z dziedziną w której się wyspecjalizowali. A wszak specjalnością oficerów bezpieki jest praca ze źródłami - czyli właśnie werbunek i prowadzenie agentury.

Moskwa i Berlin zawsze były zainteresowane sytuacją w Polsce. Dziwne byłoby gdyby nie usiłowały umieścić tu swoich agentów, jak usiłuje nam wmówić obecny rząd. Ale czy Pana zdaniem te agenturalne działania ograniczają się tylko do tych dwóch ośrodków?

Są też naturalnie służby amerykańskie, które jak rozumiem utrzymują pakiet kontrolny w tym konsorcjum, zwłaszcza od kiedy zostaliśmy sprzedani w „nowej Jalcie na telefon” przez administrację prezydenta Obamy, w wyniku czego

przypieczętowany został układ rozbrojeniowy amerykańsko-rosyjski, w którym Amerykanie odstąpili od planów instalacji w Polsce tzw. „traczy antyrakietowej” a Putin dostał „zielone światło” do zamachu smoleńskiego. Ale to przecież nie wszystko. Formułowałbym też hipotezę badawczą, że i dla służb państwa położonego w Palestynie, Warszawa aktualnie jest miastem przezroczystym. Aktywność służb izraelskich jest u nas moim zdaniem znacząca.

Skąd to wiadomo?

Na początku lat 90-tych opublikowana została książka amerykańskiego badacza i publicysty, Petera Schweizera „Victory” - Zwycięstwo. Czytamy w niej o tym, jak to w ramach wojny z „Imperium Zła”, prowadzonej przez administrację Ronalda Reagana, szef CIA - Bill Casey uzyskał obietnicę współpracy z jednej strony od Watykanu, a z drugiej właśnie służb izraelskich, które w ramach porozumienia i współpracy z Amerykanami miały udostępnić, ale też rozbudować swoje siatki w PRL. Moja hipoteza badawcza jest taka, że „coś”, co za amerykańskie pieniądze zostało zbudowane i rozbudowane w latach osiemdziesiątych przez Izrael - nie zostało zapewne w trybie nagłym zwinięte czy zlikwidowane. A zatem sądzę, że i dla państwa Izrael nie ma w Warszawie tajemnic politycznych, a jego agentura jest jedną z najliczniejszych w Polsce.

W przypadku Izraela dzisiaj może chodzi o doprowadzenie do finału roszczeń - wysuwanych wobec Polski przez Światowy Kongres Żydów o wypłatę odszkodowań za mienie pozostałe w Polsce po II wojnie światowej...

Tu już nie potrzeba agentury i tajnych operacji. To się właśnie stało. Przez całą ostatnią dekadę można było się ludzić że to są roszczenia wysuwane przez bandę cwanych łobuzów z kancelarii prawnych w Nowym Jorku, ale od początku ubiegłego roku działa specjalna agenda do tych spraw, powołana przez rząd Izraela, a zatem roszczenia majątkowe wysuwane wobec Polaków mają w tej chwili najwyższą państwową sankcję ze strony Izraela.

Na tle tych informacji o działaniach agentury bardzo niepokojąco wygląda wyjazd polskiego rządu w prawie pełnym składzie właśnie do Izraela. To może wyglądać trochę tak, jakby podwładni albo lokalny oddział konsorcjum jechał złożyć raport zwierzchnikom...

Istotnie, na początku ubiegłego roku rząd „warszawski” złożył wizytę w Jerozolimie i w niemal pełnym składzie obradował wspólnie z rządem izraelskim. O czym obradowali? Nie wiemy. W lakonicznych komunikatach rządowych mowa o „kwestiach bezpieczeństwa”, ale żadnych szerszych relacji z tych spotkań nie mamy. Tylko były ambasador Izraela w Polsce pan Szewach Weiss na łamach „Rzeczpospolitej”, w formie felietonu opisał dobrą atmosferę, w jakiej przebiegały te rozmowy - tak dobrą, że podobno na koniec spotkania razem śpiewali piosenki. Ale to trochę mało, jak na sprawy tak poważnego kalibru.

Obrady rządu, a zwłaszcza wspólne obrady rządów dwóch państw, to nie spotkanie przy grillu, piwie...

Tym bardziej, że wcześniej z taką samą wizytą wybrał się do Jerozolimy rząd Niemiec. Otóż, ponieważ były to zdarzenia zbieżne w czasie z proklamowaniem przez warszawskiego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego - wezwania rządu niemieckiego, żeby wziął w swoje ręce polskie sprawy - bo według mnie do tego się jego słynna wypowiedź sprowadzała - to tym bardziej sprawa tej „wycieczki” rządu „warszawskiego” do Jerozolimy jest zagadkowa. Zwłaszcza, że najwyraźniej upatrzone nas sobie na koalicyjanta-zyranta w nadchodzącej wojnie.

Ma Pan na myśli atak na Iran?

Tak jest. Do tej wojny przygotowuje się imperium amerykańskie wspólnie i w porozumieniu z państwem położonym w Palestynie. Zważywszy, że polskie F-16 brały przed kilkunastoma tygodniami udział w manewrach na Pustyni Negew a więc jasne jest, że już jesteśmy montowani do międzynarodowej koalicji która ma tę wojnę prowadzić. Na tym tle niepokojąco wyglądają enuncjacje wybitnego izraelskiego oficera służb specjalnych Juwala Aviva, który kilka tygodni temu w informacyjnej „Trójce” i na łamach „Gazety Wyborczej” wyraził przekonanie że terroryści szykujący zamach na Euro 2012 - są już w Polsce. A przecież pan Juwala Aviv to nie byle kto, na jego biografii osnuty został scenariusz filmu Stevena Spielberga „Monachium” - jest to zatem emerytowany speckiler. Trzeba rozumieć, że tacy ludzie nie udzielają tego typu komentarzy, bo tak akurat im przyszło do głowy... Moim zdaniem jest to komunikat, który wspólnie i w porozumieniu emitują rządy Izraela i rząd „warszawski”, bo co najmniej na takim szczeblu decyduje się i rozstrzyga, podawanie opinii publicznej informacji o zagrożeniach terrorystycznych. A teraz przypomnijmy sobie, scenariusz moskiewski sprzed kilkudziesięciu lat. Kiedy armia rosyjska potrzebowała wjechać do Czeczenii, prezydent Putin potrzebował wysadzić w powietrze kilka bloków mieszkalnych...

I zrobił to.

Właśnie. I przez to legitymizował tę wojnę - zarówno przed krajową jak i światową opinią publiczną. Przedstawił najazd na Czeczenię jako pilną, usprawiedliwioną konieczność. Powstaje pytanie, czy w tej chwili nie mamy do czynienia z taką samospełniającą się przepowiednią. Nie lękałbym się o to, gdyby nie dominujące poczucie braku polskiego państwa i polskich służb które np. tego pana oficera z Izraela powinny natychmiast przesłuchać, a przynajmniej zwrócić się z grzecznymi pytaniami, skąd bierze taką pewność, że zagrożenie terrorystyczne jest tak bliskie. No ale jak ma ABW przesłuchać pana Aviva, skoro w Polsce izraelscy funkcjonariusze mogą publicznie obnosić się z bronią, a i decydować np. o zamknięciu międzynarodowego portu lotniczego, kiedy im się spodoba.

To znaczy, że polskie służby są tak bezsilne, czy gorzej, że ich kierownictwo, samo jest związane z obcym wywiadem? A może nie tylko służby?

Odpowiem tak: Krzysztof Wyszowski na łamach „Gazety Polskiej” jako jeden jedyny zadał publicznie pytanie w tej tak ważnej sprawie i zasadnie przypuścił, że np. jeśli idziemy na wojnę, to przynajmniej - jakaś debata w Parlamencie w tej sprawie powinna się odbyć. Głos ten pozostał głosem wołającego na puszczy, nikt tej kwestii nie podjął - ani ze strony aktualnego reżimu, co w sumie nie jest dziwne, ani też ze strony tej opozycji, która ma quasi-monopol na prawej stronie sceny politycznej. Wszyscy udają, że tego pytania nie było. Ja rozumiałbym - że idziemy na tę wojnę - gdybyśmy mieli w tym jakiś interes. Ale ponieważ do Iraku i Afganistanu poszliśmy, jak się okazało, kompletnie „za frajer” i ponieważ dzisiaj u władzy są ludzie, którym ja osobiście nie powierzyłbym zbycia mojego używanego samochodu - więc nie liczę na to, żeby oni nas godnie i rzetelnie mogli reprezentować w jakichkolwiek negocjacjach. A doprawdy jest co negocjować - bo przecież, jak ostatnio zauważył mój kolega: „Na sojusznika chyba nie nasyła się komornika”.

Otóż obawiam się, że jako państwo jesteśmy tylko pionkami a w całej operacji chodzi tylko o to, żeby nastąpiła dywersyfikacja ewentualnych uderzeń odwetowych, co będzie efektem wywołania takiej wojny. Wmieszanie w nią Polski zwiększa ewentualność akcji odwetowej, wymierzonej w naszych obywateli, a tym samym zmniejszą ją, jeśli chodzi o USA i Izrael. Ja oczywiście nie wiem, czy taka wojna się zacznie, ale uważam, że jest poważne jej ryzyko. Jeśli ma się ona zacząć jeszcze w tym roku, to pewnie jednak nie przed inauguracją olimpiady w Londynie i nie bezpośrednio po wyborach prezydenckich w USA.

Polska jest pionkiem w grze służb? Zafalszowanie jej obrazu w świecie ułatwia obcym służbom zadanie. Może dzięki temu łatwiej manewrować im własną opinią publiczną?

Tu znowu mogę się posłużyć przykładem izraelskim. W kontekście ewentualnej wojny z Iranem wśród nazwisk dowodzących tą operacją wymieniana jest osoba izraelskiego oficera - generała tamtejszego lotnictwa - Amira Eszela. Jest to człowiek, który 9 lat temu bawiąc w Polsce na pokazach lotniczych razem ze skądinąd technicznie wspaniałą ekipą supermyśliwców izraelskich, po pokazach lotniczych dokonał przelotu nad terenem obozu Auschwitz-Birkenau. Miał to być rodzaj salutu honorowego tam pomordowanym. Mieli oczywiście zgodę na ten przelot, obserwowany zresztą z ziemi przez stu kilkudziesięciu oficerów armii i służb izraelskich - ale z rutynowym warunkiem uwzględnienia aktualnych warunków atmosferycznych a więc nie niżej pułapu chmur. Pan generał Eszel złamał te ustalenia - przeleciał poniżej pułapu chmur, tak nisko, jak tylko się dało. Po powrocie do domu, odpowiadając na pytanie o to naruszenie procedury, powiedział mniej więcej tak - 800 lat słuchaliśmy Polaków i więcej już nie musimy. Kiedy przeczytałem te słowa na łamach polskiej prasy - to szczerze mówiąc nie wierzyłem - że mogły paść z ust tak wybitnego żołnierza, nota bene aspirującego także do poważnej roli politycznej. - Dokonałem pobieżnej kwerendy w angielskiej prasie izraelskiej i to się potwierdza.

Co z tego wynika?

Że pan generał Eszel opiera się na jakiejś złej historii. Niewątpliwie jest on wybitnym wojskowym i na pewno świetnym pilotem, ale jest człowiekiem, który bazuje na jakiejś chorej, nieprawdziwej wersji historii, którą najwyraźniej ktoś mu zaprezentował. Skoro tacy ludzie dowodzić mają polskimi lotnikami, czyli mają w swoich rękach los Polaków i to jest niebezpieczne. Tak samo zresztą, jak pełne aprobaty komentarze dla przelotu izraelskich myśliwców nad terenem obozu i uznanie dla generała za tę wypowiedź. Np. znany w USA i Kanadzie publicysta Jeffrey Goldberg, dokonał takiej wykładni: „Nad Auschwitz Eszel dokonał symbolicznej zemsty na Polakach, którzy upokarzali Żydów w trakcie stuleci, które doprowadziły do Holokaustu”. Otóż ludzie z taką wiedzą o historii - wiedzą opartą na stereotypie, przesądzie i resentymencie - tacy ludzie zwyczajnie napawają mnie niepokojem.

Ale przykład p. Eszela nie jest odosobniony. W dodatku falszerstwa historyczne pojawiają się także w Polsce co również można uznać za działanie agentury o której Pan wspominał, głosy dementujące nie są słyszalne.

W Polsce przygotowywane jest otwarcie Muzeum Historii Żydów Polskich. Mówię o tym, bo kilka lat temu nabyłem bardzo pięknie wydaną książkę *Atlas historii Żydów Polskich* - z pozoru wartościową pozycją historyczną. Osoby ją redagujące podobno biorą udział w programowym przygotowaniu Muzeum Historii Żydów Polskich. Jestem tym poważnie zaniepokojony, ponieważ szereg informacji zawartych w tej książce zakłamuje tę historię, czego tu szerzej nie omówię, ale podam jeden charakterystyczny przykład. Oto rozdział o epoce zaborów kończy zdanie: „Dla Żydów zaczynał się nowy, trudny okres” - a zatem polska cudem odzyskana niepodległość to dla autorów tylko „nowy, trudny okres”... Jeśli istotnie Muzeum Historii Żydów Polskich współtworzą ludzie tak dalece nie odczuwający wspólnoty ze sprawą polską, to ciekawe, co tam zobaczymy i przeczytamy. A przecież „pedagogika wstydu” w tej dziedzinie uprawiana jest wobec Polaków już od dawna. Podejmowane są usilne próby redefinicji dziejowej roli Polski i negatywnej korekty obrazu Polaków. Polska młodzież z całej historii naszego kraju, a zwłaszcza z historii XX wieku ma zapamiętać, że ich dziadkowie byli złodziejami, dobrze jeśli nie mordercami Żydów.

To jest także trochę zbieżne z publikacjami szczytowego okresu stalinizmu, kiedy przekaz brzmiał, że w 1918 r. zabór rosyjski został zastąpiony zaborem polskim, a ideałem ustroju jest komunizm i przynależność do ZSRR.

Owszem, mamy tu do czynienia z podobnym poczuciem wyższości i obcości wobec sprawy polskiej, wobec aspiracji niepodległościowych.

Przypadek?

Ukończyłem niedawno pracę nad nowym filmem: „Poeta pozwany” o Jarosławie Marku Rymkiewiczu, jednym z najwybitniejszych poetów współczesnych, który notabene czytuje także naszą gazetę. Film traktuje głównie o jego poezji, ale też o wytoczonym mu procesie. Spółka Agora SA pozwała Jarosława Marka Rymkiewicza za jego wypowiedzi, w których po 10 kwietnia 2010, po zamachu smoleńskim, wyrażał troskę o stan państwa i narodu polskiego i w tym kontekście bardzo jednoznacznie i negatywnie zdefiniował rolę „Gazety Wyborczej” jako ośrodka antypolskiego, antykatolickiego, antynarodowego. Rymkiewicz wskazuje na pewną ciągłość postaw ideowych - nazywa redaktorów „Wyborczej” dziedzicami duchowymi Komunistycznej Partii Polski. Zresztą sam sposób prowadzenia tego procesu i jego rozstrzygnięcie daje wiele do myślenia...

Sądzi Pan, że do kolejnej wojny będzie potrzebny impuls na miarę WTC? Zamach w czasie olimpiady w Londynie?

Może właśnie nie w czasie olimpiady w Londynie tylko w czasie Euro w Polsce - jak wróży wzmiankowany Aviv. Tak czy inaczej, aktualny „reżim warszawski”, nie chcąc czekać na samoistny i spontaniczny wybuch społeczny, szykuje się do przeprowadzenia „kryzysu kontrolowanego” - władza sama zainicjuje taki wybuch. Obecnie trwa poszukiwanie „tematu przewodniego”, który posłuży zorkiestrowaniu symfonii propagandowej, która będzie towarzyszyć akcji pacyfikacyjnej. Czy takim tematem będą ostatecznie „kibole”, czy „mohery”, czy stymulowany przez prowokację rosyjskich „kibiców” pokaz „polskiego szowinizmu”, tego oczywiście nie wiem - może wszystko na raz.

Polskie władze wysyłają coraz wyraźniejsze sygnały, że chcą zaostrzyć swą politykę, np. poprzez ograniczenia wolności zgromadzeń. Może wypowiedzi Wałęsy o palowaniu związkowców nie są przypadkowe?

Polskie władze ewidentnie tęsknią za stanem wyjątkowym i już prowadzą przygotowania do niego poprzez zorganizowane manewry. Ich przykładem były destrukcyjne działania wymierzone w uczestników Marszu Niepodległości 11 listopada ubiegłego roku. To nie było nic innego, jak manewry i policyjne i medialne, mające na celu sprawdzenie, czy demonstrację kilkudziesięciu tysięcy polskich patriotów można przedstawić jako zamieszki wszczęte przez bandę chuliganów. I to się w dużym stopniu udaje.

Jest wszakże jedna luka w systemie, jedna okazałych rozmiarów dziura, przez którą uchodzi część powietrza z balona propagandowego III RP - ta dziura jest w Toruniu. I stąd tak konsekwentne działania nękające i deprecjonujące wobec Radia Maryja i Telewizji TRWAM.

Dla reżimu stan wojenny, wprowadzony być może pod jakąś inną, bardziej „przyjemną nazwą”, jest jedynym sposobem na rozwiązanie wszystkich najistotniejszych problemów na raz - na spacyfikowanie opozycji i ograniczenie swobody obiegu informacji i na „zrolowanie” problemów ekonomicznych, które są w zasadzie pierwszoplanowe. Państwo polskie jest zbankrutowane i ten stan będzie się coraz bardziej ujawniał. Ewentualny stan wyjątkowy, do wprowadzenia którego pretekstem byłyby jakieś akty terroru wobec Polaków, świetnie by się przysłużył także zrolowaniu sprawy Smoleńska. Pamiętajmy, że wersja o „wypadku lotniczym” sypie się coraz bardziej. Akty terroru wymierzone w Polaków dałyby świetny pretekst, żeby sprawę zamachu w Smoleńsku odsunąć na dalszy plan.

Ale z tego co Pan mówi, wynika, że ta agentura, o której wspomniał Pan wcześniej, ma o wiele szersze kręgi i jest obecna także w mediach ‘głównego nurtu’. Tak jakby redaktorzy naczelni lub szefowie telewizji czy stacji radiowych udawali się do kogoś po instrukcje i polecenia.

Kontrola nie jest doskonała, jeśli każdemu trzeba mówić, co ma robić. Kontrola jest pełna jeśli poszczególne stanowiska są obsadzone „swoimi” ludźmi, którzy bez specjalnych poleceń wiedzą, jaki przekaz przygotować. Dla pełnej kontroli agentura musi być także w mediach i dokładnie tak jest skonstruowany ład medialny w III RP. Przypomnę tylko, że kreowanie „ładu medialnego” zostało powierzone ludziom, których niejako ręcznie wyselekcjonowali jeszcze Jaruzelski i Kiszczak. Spektakularnym przykładem jest tu postać pana Mariusza Waltera - ojca - założyciela jednego z najważniejszych w systemie propagandowym III RP koncernu medialnego, którego w stanie wojennym rekomendował Jaruzelskiemu osobiście Jerzy Urban. Jaruzelski wtedy nie skorzystał. Skorzystał później.

Już po Okrągłym Stole?

Okrągły Stół był tylko inscenizacją, fasadą propagandową. Najistotniejsze decyzje zapadały zupełnie w innym miejscu i innym czasie...

W Magdalence?

Nie, w Magdalence to był już niższy szczebel. Wmanewrowanie elity opozycyjnej w Okrągły Stół, to był tylko jeden z końcowych elementów całej tej operacji. Droga do Okrągłego Stołu zaczyna się znacznie wcześniej - już w Stanie Wojennym. Czesław Kiszczak powiedział kiedyś, że „stan wojenny i okrągły stół to dwa końce tej samej polityki” i wyjątkowo był w tym przypadku szczery. Stan wojenny był okresem, w którym między innymi dzięki operacji internowania elity opozycyjnej, mógł się rozpocząć proces selekcji kadr, które władze sowieckie uznały za na tyle spolegliwe, żeby ich następnie używać przy Okrągłym Stole. Myślę, że cała koncepcja została wypracowana znacznie wcześniej niż u schyłku lat osiemdziesiątych.

W roku 1985 Wojciech Jaruzelski pod pretekstem wizyty w ONZ spożył obiad i odbył długą rozmowę z Dawidem Rockefellerem Juniorem - ta rozmowa jest odnotowana z obu stron - z jednej strony informację o niej pozostawił

aranżujący to spotkanie Zbigniew Brzeziński a z drugiej obszerną notatkę, chociaż bez informacji na temat meritum spraw, zrobił bodajże W. Górnicki. A wszystko musiało zacząć się znacznie wcześniej - najpóźniej w połowie lat 1970-tych, kiedy reżim komunistyczny wiedział już, że musi dobić targu.

Jakiego targu? Z kim?

Z finansistami zachodnimi, którzy kredytowali komunizm i którym zależało na tym, żeby zaciągnięte przez komunistów pożyczki zostały przynajmniej w jakiejś mierze zwrócone lub żeby została dokonana konwersja tychże długów na wpływy polityczne. Doszło do tragicznego paradoksu naszej historii - że na niepodległości Polski nie zależało i nie zależy ani sowieckim komunistom ani ich finansowym partnerom z Zachodu. Przeciwnie - wtedy, w latach osiemdziesiątych, jedni i drudzy obawiali się tego, że kiedy komunizm zbankrutuje a jego bankructwo było już faktem, wówczas do władzy mogą dojść wolni Polacy, którzy powiedzą Zachodowi: pożyczaliście mordercom i złodziejom, to bujajcie się teraz. Wtedy dla obu stron jasne było, że nie można dopuścić do tego, ażeby Polska odzyskała niepodległość. Komuniści nie chcieli stracić życia ani wpływów, a ich najlepszym partnerem stali się ludzie, którzy mieli istotny wpływ na elity opozycyjne w Polsce. Nieprzypadkowo w odtajnionych raportach ambasadora amerykańskiego, wysyłanych w latach osiemdziesiątych do Waszyngtonu wszystkie wydarzenia roku '89, które na nasz użytek szumnie nazywa się „transformacją ustrojową”, nazywane są po prostu „układem Jaruzelski-Geremek”.

Wynika z tego, że nieprzypadkowo znaczna część opozycji okrągłostołowej miała za sobą komunistyczną przeszłość. Opozycją stała się po 1968 r. Stalinizm im nie przeszkadzał.

Komuniści do układu Jaruzelski-Geremek dopuścili wyłącznie ludzi, którzy nie kwestionowali pryncypiów socjalistycznych. Ani tzw. katolewica, ani tzw. dysydenci, czyli ludzie, którzy do pewnego momentu byli aktywnymi członkami, czy nawet funkcjonariuszami partii komunistycznej, a następnie podjęli inną grę, jak np. właśnie Geremek, nigdy nie kwestionowali socjalistycznych pryncypiów ustrojowych. W efekcie w Polsce nigdy ustrój komunistyczny nie został określony jako zbrodniczy. A polityka „grubej kreski” uniemożliwiła wyeliminowanie agentury.

Osobny wątek, kto wie, czy w istocie nie pierwszoplanowy - to oczywiście masoneria, ale o tym - nie sposób opowiedzieć w trzech słowach.

Ale szanse na to, żeby działania rządu zostały dziś uznane za zdradę stanu, są żadne...

Ja na dzień dzisiejszy nie widzę szansy, żeby polskie państwo mogło być odzyskane, a następnie zabezpieczone na drodze demokratycznej. Wierzę, owszem, w demokrację na szczeblu lokalnym. Ale na szczeblu centralnym demokracja to zgubny przesąd. Nie sądzę zatem, by Polska mogła być odzyskana w trybie demokratycznym. Nie zniechęcam, broń Boże, do udziału w grze demokratycznej, póki się ona toczy - nikogo nie namawiam do eskapizmu, emigracji wewnętrznej, czy zewnętrznej. Ale przy każdej okazji powtarzam, że polscy patrioci powinni przede wszystkim zatroszczyć się o zabezpieczenie w najbliższej okolicy trzech budynków: kościoła, szkoły i... strzelnicy. Bez tej triady nie będzie nic. A wszystko przecież być może. Nie ma żadnej konieczności historycznej, żadnego przymusu dziejowego, jak sobie uroili przesadną hegliści-marksisci. Dał nam Pan Bóg wolną wolę - więc i Polska być może.

Jaką drogą?

Mówiąc wprost - najpierw zamach stanu a potem całkowita zmiana systemu politycznego. Jestem monarchistą, więc modłę się o powrót Króla - inaczej wezmą nas za twarz jakiegoś zwykłego „trepy”. Ale to jest już temat na długą i zupełnie inną rozmowę.

A nad czym pan obecnie pracuje w montażowni?

Kończę pierwszą część cyklu pod tytułem „TRANSFORMACJA” - zobaczymy czy znajdą się pieniądze na następne części.

Grzegorz Braun.

Za: <http://www.warszawskagazeta.pl/kraj/36-kraj/1209-polsk-rzdzi-konsor-cjum-sub-specjalnych-ronych-pastw-Aktualizacja>: [2012-06-10]

CZY ZABIORĄ NAM ŚLĄSK

„Dać Polsce Śląsk to tak, jak dać małpie zegarek” - to słowa premiera Wielkiej Brytanii Lloyda George’a z okresu prac nad traktatem wersalskim. Do nich nawiązał, kilka lat temu, Jerzy Gorzelik, przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska: „No i po 80 latach widać, że małpa zegarek zepsuła” [„Rzeczpospolita”, 24 maja 2008 r.]. Za cel do 2020 r. RAŚ przyjmuje decentralizację państwa i stworzenie ze Śląska autonomicznego regionu z własnym premierem i Sejmem. Mimo to Platforma Obywatelska zawiązała z RAŚ koalicję w sejmiku województwa śląskiego.

Cofnijmy się o cztery lata. Na wniosek radnych PiS śląski sejmik podejmuje uchwałę o uznaniu roku 2009 Rokiem Wojciecha Korfatego. Pozytywnie na ten wniosek odpowiada prez. Lech Kaczyński. Premier Donald Tusk poparcia inicjatywy odmawia. To musi się podobać działaczom RAŚ.

Dwa lata później dochodzi do sojuszu tego ugrupowania z Platformą. W efekcie działacze RAŚ znaleźli się w sejmiku a jego lider Jerzy Gorzelik odpowiada w zarządzie województwa za kulturę i edukację. Gdzie lepiej mógłby się usadowić polityk który tworzy taki tekst: „Nie rozumiem, dlaczego dzieci śląskie mają czytać Sienkiewicza czy uczyć się o

romantyzmie i polskich uniesieniach. Ta kultura jest nam kompletnie obca. (...) Jestem Ślązakiem, nie jestem Polakiem i nie czuję się zobowiązany - do lojalności wobec tego państwa” (Wp. pl).

Platforma kreatorem RAŚ

W 2011 r. w sejmie z inicjatywy grupy posłów PO próbowano zastąpić świętowanie rocznicy powstań śląskich rocznicą plebiscytu z 1921 roku. Tę inicjatywę zablokował poseł PiS Grzegorz Tobiszowski. Większość polityków śląskiej PO popiera koalicję z RAŚ, a wielu także postulaty uznania „narodu śląskiego” i „języka śląskiego”. W 1998 r. RAŚ usiłował zarejestrować Związek Ludności Narodowości Śląskiej. Kwestię tę rozpatrywały sądy wszystkich instancji oraz Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Za każdym razem wniosek odrzucano. Sąd Najwyższy orzekł, że „wolność wyboru narodowości może być realizowana tylko w odniesieniu do narodów obiektywnie istniejących, ukształtowanych w procesie historycznym, a narodu śląskiego nie ma”.

Bogdan Świączkowski, radny sejmiku śląskiego z ramienia PiS, były szef ABW: „Władza centralna daje sygnał: godzimy się, bierzemy pod uwagę autonomię polskiego Śląska, a nawet może coś więcej. Wydaje mi się, że pierwszy raz w dziejach RP mamy do czynienia z tak jawnym przejawem zdrady stanu. Legitymizowanie RAŚ grozi tym, że apetyt zacznie rosnać w miarę jedzenia. Pamiętajmy, że organizacja terrorystyczna ETA powstała na skutek zniecierpliwienia niektórych działaczy Nacjonalistycznej Partii Basków...” („Gazeta Polska” z 25 maja 2011 r.).

Jeden z autonomistów napisał parę tygodni temu na stronie wicewojewody śląskiego: „Czas skończyć tylko gadać. Niech poleje się polska krew!”.

PO i RAŚ mącą i dzielą

Bogdan Świączkowski: „Rządzący Polską znani są z tego, że dla nich liczy się tylko tu i teraz. Nie biorą pod uwagę tego co może stać się za rok czy parę lat. Dla doraźnych celów politycznych doprowadzili na Śląsku do koalicji z RAŚ. Takie sztuczne próby podzielenia mieszkańców polskiego Śląska i uwikłanie w to partii opozycyjnej jest w wyborczym interesie partii rządzącej” (tamże).

Jerzy Polaczek, poseł PiS: „Jesteśmy świadkami manipulowania i wypaczania historii, promowania »jedynie słusznej« wersji z punktu widzenia RAŚ. Te krzywdy - przypominane przez RAŚ - ograniczają się do czasów »polskich«, a zapominają się - o prześladowaniu, germanizowaniu Ślązaków pod niemieckim zaborem i okupacją” (Dziennik zachodni.pl).

Student Jerzy Gorzelik już w 1996 roku jako lider Śląskiego Związku Akademickiego protestował przeciwko wzniesieniu pomnika Wojciecha Korfantego. W oświadczeniu ŚZA powstania śląskie są ujęte jako „wzniecenie bratobójczych walk, określanych w polskiej historiografii mianem powstań śląskich”.

W lutym br. zarząd województwa, którego członkiem jest Jerzy Gorzelik, podjął decyzję o zmianie kolorystyki Stadionu Śląskiego w Chorzowie z białą-czerwonej na barwy Górnego Śląska (czerwono-niebiesko-białe). Na tym stadionie widuje się także kibiców w koszulkach z nadrukiem: „Dzisiaj Kosowo, jutro Śląsk”. Gdy PZPN zabronił wywieszania na stadionie flag z napisem „Oberschlesien”, RAŚ stanowczo zaprotestował. Mapę z tym napisem, przedstawiającą terytorium Górnego Śląska po I wojnie światowej, autonomiści rozpostarli podczas uroczystości zaprzysiężenia radnych sejmiku śląskiego.

Bogdan Świączkowski: „Już nawet nie mam ochoty przypominać sobie wybiegów, z jakimi ze strony pana Gorzelika mieliśmy do czynienia, aby uczcić pamięć m.in. członków niemieckiego Grenzschutzu, którzy zabijali powstańców śląskich. Padła propozycja, by w uchwale upamiętniającej powstańców znalazły się też słowa o niemieckich formacjach zbrojnych, które mordowały Polaków. Jedni i drudzy mieli być tam wymienieni na równych zasadach! Podobnie było w sprawie uchwały dotyczącej sytuacji na Śląsku po 1945 roku. Według mnie RAŚ chciał doprowadzić do zapisu o „polskich obozach koncentracyjnych”, w których po wojnie przetrzymywano Ślązaków. W obu przypadkach ostatkiem sił udało nam się takie skandaliczne sformułowania odrzucić. A bezpośrednią odpowiedzialność ponoszą za to Donald Tusk, Tomasz Tomczykiewicz i inni przedstawiciele władzy”.

Projekt Gorzelika

Dziś dla „GP” Jerzy Gorzelik mówi dyplomatycznie: - Naszym niezmiennym celem jest uzyskanie autonomii regionalnej w ramach Rzeczypospolitej Polskiej, powiązanej z reformą ustrojową państwa. Uznając, że państwo federalne jest modelem optymalnym, zakładamy, że do federacji powinno się w warunkach polskich dochodzić ewolucyjnie poprzez model włoski, hiszpański, gdzie regiony mogą stopniowo poszerzać zakres swojej samorządności.

Ale gdzie są w Polsce te inne państwa regionalne czy federalne, które miałyby tworzyć jedno państwo federalne?

W jednym z procesów sądowych, które Gorzelik wytoczył za nazwanie go separatystą, sędzia - oddalając powództwo - podkreśliła, powołując się na opinię biegłego konstytucjonalisty, że nie wiadomo czy w postulowanym przez RAŚ autonomicznym Śląsku będzie obowiązywało obecne polskie prawo. Biegły określił taki Śląsk jako quasi-państwo w ramach RP; równoległą państwowość - dodała sędzia. Biegły ocenił że z programu RAŚ wynika, iż polskie państwo miałyby na Śląsku tylko ograniczone kompetencje a cudzoziemcy mieliby wpływ na kształt jego ustroju. Śląsk mógłby także sam zawierać umowy międzynarodowe. Można też byłoby ograniczać tam prawa i wolności, o ile zagrażałyby one „tożsamości etnicznej”. Program RAŚ nie opisuje ponadto, jakie byłyby konsekwencje gdyby region naruszył Konstytucję RP. Biegły dodał, że taki Śląsk miałby większe prawa niż jakkolwiek stan USA (za rp. pl).

Patriotyzm groźniejszy niż separatyzm

Autonomię przyznaje się na świecie tylko regionom, które są zdominowane przez inne nacje. Jak stwierdził polski sąd, narodowość śląska nie istnieje. To był wymyślony, aby osłabić więzi Śląska z Polską. Powoływanie się zaś na przedwojenny status Śląska nie ma sensu, był on bowiem sztuczną pochodną traktatu wersalskiego, i nacisków Ligi Narodów. Dzisiaj na mocy konstytucji Polska jest krajem unitarnym. O żadnej federacji „regionalnych państw” mowy być nie może. Poczynania tych polityków PO, którzy za cenę doraźnego zysku politycznego hodują ruchy w rodzaju RAŚ, godne są potępienia.

Działania RAŚ popieranego przez ponad 120 tys. wyborców [województwo liczy ok. 4,65 mln mieszkańców] są lekceważone przez lewicowo-liberalne elity i ich media. Ideologia małych ojczyzn okazuje się doskonałym narzędziem dezintegracji polskości i polskiego patriotyzmu - tego, czego owe elity nienawidzą najbardziej.

Paweł Paliwoda

Źródło: autorzygazetypolskiej.salon24.pl/432235,czy-zabiora-nam-slask

Za: <http://www.bibula.com/?p=58471>

CENTRALIZACJA WŁADZY GLOBALNEJ

David Rockefeller - założyciel Komisji Trójstronnej - powiedział, że wszystkiego czego potrzebujemy to jeden duży kryzys, żeby narody przyjęły Nowy Porządek Światowy.

Oto w wielu krajach Europy obserwujemy efekt kryzysu, a mianowicie wprowadzenie nowych umów [przy złamaniu starych] i praw chroniących interesy globalistów oraz dużych korporacji. KAŻDA instytucja przeżywa obecnie kryzys. Żle zarządzany system emerytalny i ZUS to przyczyna wydłużenia wieku emerytalnego. Kryzys w służbie zdrowia grozi usankcjonowaniem eutanazji, brakiem dostępu do usług medycznych i lekarstw [co już obserwujemy] oraz odmową leczenia, zabiegów i operacji - jak sugerowała posłanka Mucha, etc. Wprowadza się nowe technologie identyfikacji pacjenta.

W szkolnictwie natomiast redukuje się liczbę godzin języka polskiego i historii. Ze względu na [celowe] zadłużenie państwa spada wartość nabywcza pieniądza, co widać zwłaszcza po galopującym wzroście cen żywności, ludzie tracą pracę, a przedsiębiorcy bankrutują. Inflacja pieniądza to kolejny 'ukryty' podatek.

Taka polityka została ustalona przed 20 laty. Wszyscy uczestnicy okrągłego stołu wiedzieli że w III RP będzie można kraść tak, by rozwalić cały system zarządzania państwem. Obecnie, Premier Polski podwyższa wiek emerytalny - jak sam przyznaje - po ustaleniach z Komisją Trójstronną. Najpewniej ustaw tego rodzaju podpisze znacznie więcej i w każdym sektorze. Tworzy się model eksploatacji ludności.

Jak zauważył prof. Rybiński światowe banki próbują przejąć Europę. I tak nowym premierem Włoch został Mario Monti - europejski prezes Komisji Trójstronnej, *think tanku* założonego w 1973 przez Davida Rockefellera, jeden z członków komitetu sterującego Grupy Bilderberg. W latach 2008-2010 zasiadał w tzw. Grupie mędrców, której celem była analiza przyszłości europejskiego modelu gospodarczego.

Do tej samej grupy należą/należeli założyciele Platformy Obywatelskiej - Andrzej Olechowski (Goldman Sachs) i Janusz Palikot. Zwłaszcza po tym drugim przykładzie widać na co kładzie się ciśnienie.

Jest to przykład linii polityki: 1. stworzenie problemu [kryzysu]; 2. medialna nagonka wyzwalająca odpowiednią reakcję opinii publicznej; 3. zaproponowanie rozwiązania, czyli centralizacja władzy.

Za: <http://revelation.nowyekran.pl/post/62049,centralizacja-wladzy-globalnej>

OD DŻAMAHIRIJI DO AZAWADU

W ostatnich dwóch dekadach nad Afryką nieprzyjemnie powiało „stabilizacją”. W języku politycznym świata zachodniego stwierdzenie, że dany kraj lub region się „ustabilizował” oznacza mniej więcej tyle, że włączono go do obszaru strategicznej kontroli „Zachodu”, który teraz rozpocznie jego wzmoczoną penetrację polityczną, ekonomiczną i ideologiczną.

Po rozpadzie bloku sowieckiego i zwycięstwie USA w planetarnej rywalizacji, liczba niezależnych państw na Czarnym Lądzie zaczęła się zmniejszać. Wcześniej przynajmniej w niektórych państwach afrykańskich funkcjonowały autorytarne rządy, które otwarcie odrzucały zachodnie wzorce ustrojowe, a za swój programowy cel obrały utrzymanie suwerenności ideologicznej i samodzielności ekonomicznej swoich krajów oraz ochronę tradycyjnej tożsamości kulturowej ich mieszkańców.

Można tu wymienić: „socjalizm chłopski” w Gwinei rządzonej przez Ahmeda Sékou Touré (1958-1984), koncepcję *osobowości afrykańskiej* i opartą na niej doktrynę *konscjentyzmu* w Ghanie rządzonej przez Kwame Nkrumahę [1960-1966], doktrynę *ujamaa* w Tanzanii rządzonej przez Juliusa Nyerere [1961-1985], chrześcijańsko-socjalistyczny „zambijski humanizm” w Zambii rządzonej przez Kennetha Kaundę [1964-1991] czy tercerstystyczną doktrynę polityczną Konga-Zairu pod rządami Mobutu Sese Seko (1965-1997).

Zanim przyznamy rację ocenom tych przywódców politycznych, wypowiedzanym z reguły z pozycji demoliberalnych, prawo-człowieczych i w ogóle zachodniackich, zwróćmy uwagę na pewne fakty. Po śmierci Kwame Nkrumaha i Mobutu Sese Seko - a każdy z nich zmarł na wygnaniu - władze ich państw sprowadziły ich ciała do ojczyzny i wyprawiły im isticie monarsze pochówki. W Tanzanii Kościół katolicki rozpoczął przed kilku laty starania o beatyfikację Juliusa Nyerere. Czy doszłoby do tego, gdyby ci politycy naprawdę byli tak źli, jak mówi się o nich na Zachodzie?

Oba bieguny, amerykański i sowiecki, z konieczności tolerowały istnienie tych form politycznych, a nawet wspierały je, by nie dać konkurentowi przewagi w lokalnych rozgrywkach prowadzonych z nim w Afryce. Zwycięstwo USA w planetarnej rywalizacji pozbawiło je racji bytu, a geokulturowy „koniec historii” odciął od podłoża, zastępując wszelkie ideały polityczne ideałem materialnego dobrobytu i nieskrępowanego zaspokajania indywidualnych zachcianek.

Zmiana rządów w RPA w 1994 r. i fiasko podjętej wówczas próby zbrojnego utworzenia samodzielnego państwa przez Burów symbolicznie zakończyły epokę polityki tożsamościowej w Afryce, a zapoczątkowały epokę coraz szerszego otwarcia bram kontynentu dla McŚwiata. W 2011 r. libijską Dżamahiriję - ostatni na kontynencie „niedemokratyczny” i nieliberalny bastion oporu przed supremacją bloku zachodniego - wymazała z mapy agresja militarna NATO, uzasadniana pomocą dla agenturalnej „libijskiej opozycji”, wykreowanej tam wcześniej w celu usprawiedliwienia inwazji. Chociaż jeszcze nic nie wiadomo, walki tam nadal trwają i to coraz ostrzejsze.

Wydawało się, iż od tej pory jedynym politycznym czynnikiem rozstrzygającym w Afryce staną się interesy bloku euratlantyckiego lub niektórych zrzeszonych w nim państw. I tak w ciągu ostatniej dekady miały miejsce „misje stabilizacyjne” Unii Europejskiej: Artemis [2003] w Demokratycznej Republice Konga, EUFOR [2006] w Demokratycznej Republice Konga, EUFOR [2008-2009] w Czadzie i Republice Środkowo-afrykańskiej.

We wszystkich przypadkach na forum UE i ONZ przeforsowała je we własnym strategicznym interesie Francja, która wykorzystuje misje „stabilizacyjne” i „pokojoye” - jako przykrywkę dla utrzymywania w państwach afrykańskich swojej obecności wojskowej. Oprócz wymienionych, francuskie siły zbrojne uczestniczą w prowadzonej od 2008 r. operacji Atalanta na wodach wokół Półwyspu Somalijskiego, prowadzą „operację pokojową” na Wybrzeżu Kości Słoniowej oraz utrzymują swoje bazy w Senegal, Dżibuti [od 2001 r. wspólnie z Amerykanami] i Gabonie. Nie sposób nie zauważyć, że obszar francuskiej obecności wojskowej w Afryce zasadniczo pokrywa się z dawnym afrykańskim imperium kolonialnym Francji. Obejmuje bowiem następujące terytoria:

- Senegal i Wybrzeże Kości Słoniowej, wchodzące dawniej w skład Francuskiej Afryki Zachodniej;
- Czad, Republikę Środkowo-Afrykańską i Gabon, czyli dawną Francuską Afrykę Równikową;
- Dżibuti, czyli dawne Somali Francuskie.

Znamienne było także utworzenie w 2008 r. w strukturze dowodzenia sił zbrojnych USA osobnego dowództwa odpowiedzialnego za Afrykę [US AFRICOM], której obszar podlegał wcześniej trzem różnym amerykańskim dowództwom.

Wydawało się zatem, że Czarny Ląd w coraz większym stopniu zamienia się w szachownicę w rękach zachodnich graczy. Rok 2012 przyniósł światu w tej kwestii spore zaskoczenie. W styczniu uzbrojone oddziały Tuaregów wkroczyły od północy do Mali i zaczęły zajmować kraj, szybko opanowując ponad połowę jego terytorium, zaś 6 kwietnia proklamowały powstanie niepodległego państwa Azawad.

Tuaregowie! Jak trudno opisać natłok obrazów, ożywionych nagle dźwiękiem imienia tego ludu, nie słyszanego od czasów, kiedy w dzieciństwie z wypiekami na twarzy czytało się przygodowe powieści Karola Maya. „Niebiescy ludzie”, dumni, mężni i bitni. Berberyjscy wojownicy o twarzach zakrytych zawojem, przemierzający morza wydm na „okrętach pustyni”, z krzywymi dżambijami i mieczami *takuba* u pasa, lotni niczym *ghule* - pustynne duchy, i tak samo budzący postrach.

Ich brawurowy rajd na Mali, przeprowadzony bez żadnego zewnętrznego wsparcia (czego nie dałoby się powiedzieć na przykład o libijskich „powstańcach” wykreowanych przez Zachód) - dowiódł, że w społeczeństwach, które oparły się modernizacji na modłę zachodnią, etos wojownika pozostaje wciąż żywy. Sflaczałym Globalistom wciąż nie udało się przerobić wszystkich mieszkańców Ziemi na swój obraz i podobieństwo.

Trzon sił Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu tworzą weterani z libijskiej armii Pułkownika Kaddafiego, którzy z bronią w ręku odpierali najazd NATO na Dżamahiriję. Można więc mówić o sukcesji sztandaru niezależności w Afryce, który z Libii przemieścił się do Azawadu. Tuarescy wojownicy Kaddafiego rzeczywiście wdarli się w granice Mali niczym wiatr od pustyni.

Aby przedostać się do Azawadu, przebyli ponad tysiąc dwieście kilometrów przez serce Sahary, przenikając po drodze przez terytoria dwóch innych państw, Algierii i Nigru. I, niczym bohaterowie dawnych sag, wkroczyli w wysmagane piaskiem mury grodu Timbuktu, położonego na skrzyżowaniu prastarych szlaków karawanowych.

Znaczna część granic Mali to typowe granice geometryczne, tzn. sztucznie wykreślone liniijką na mapie, bez oparcia w uwarunkowaniach geograficznych. W obrębie tego państwa, noszącego nazwę średniowiecznego afrykańskiego imperium, leży tylko fragment ekumeny Tuaregów, która obejmuje ponadto terytoria Algierii, Nigru i Burkina Faso. Choć po swoim

sukcesie Narodowy Ruch Wyzwolenia Azawadu ze swej strony potwierdził nienaruszalność dotychczasowych linii granicznych, jednak w państwach ościennych zapanował niepokój.

Azawad leży w części Afryki, gdzie krzyżują się interesy mocarstw. Mali wchodziło niegdyś w całości w skład imperium kolonialnego Francuzów, przeciw którym panowaniu Tuaregowie kilkakrotnie podnosili oręż w XX w. Na wschodzie Azawad graniczy z Mauretanią, wciągniętą w minionych latach - do obszaru strategicznej kontroli Chin, dla których Mauretania stanowi ważne źródło dostaw surowców i które w związku z tym mogą być zainteresowane utrzymaniem w regionie „spokoju”, czyli *status quo*.

Czy państwo Tuaregów przetrwa? Czy może raczej jego niepodległość utonie we krwi w wyniku kolejnej „międzynarodowej” interwencji, podjętej dla przywrócenia „demokratycznego porządku prawnego”? Jakikolwiek obrót przybierze sytuacja, podbój Azawadu to wydarzenieznak.

Wbrew mędrkowaniu zachodnich polityków i intelektualistów, wbrew machinacjom państw Zachodu narzucających różnorodnym krajom i kulturom swoje nieznośne „mieszkańskie” wzorce, wbrew oświeconym próbom spętania niezachodnich społeczeństw sztucznymi liberalnymi procedurami pod jeden ideologiczny strychulec - jednak ludy znów wędrują, a świat wojowników i zdobywców majaczy na horyzoncie za bitewną kurzawą.

Międzynarodowy system polityczny ufundowany na mieszkańskim światopoglądzie zdradza objawy erozji. Być może rozpoczyna się nowa epoka polityki heroicznej.

Adam Danek - <http://prawica.net/29874>

MASONERIA A ROZBIORY POLSKI - CZĘŚĆ I

I. Wstęp

Znany z wielu poważnych prac na polu historii kultury p. Kazimierz Marjan Morawski ogłosił w jednym z ostatnich zeszytów Kwartalnika Historycznego niewielkie, ale obfite w treść studium pod dziwnym napozór tytułem „Bractwo wrogów wstrzemięźliwości”... W czasie pobytu w Dreźnie zaznajomił się Morawski z W. Suntheimem, właścicielem firmy winiarskiej H.E. Philip który go zaprowadził do składów tej firmy, znajdujących się w podziemiach tzw. „Pałacu Kurlandzkiego”. W środkowej hali pokazał p. Suntheimem naszemu uczonemu duże półokrągłe framugi; w jednej z nich były ślady wskazujące iż stał tam niegdyś owalny stół, tak wielki, że mogło przy nim wygodnie zasiąść 12 osób. Przy tym stole, jak wywodzi nasz Autor na podstawie obszernej literatury i materiałów archiwalnych - odbywał elektor saski Fryderyk August II, a od roku 1697 król polski August II, w gronie zaufanych panów i dam - wesołe „posiedzenia” na których, jak wieści głosiły, głównym przedmiotem narad było wypróżnianie kielichów, równocześnie mogło zasiadać przy tym stole tylko 12 osób, choć liczba zaufanych Króla Jegomości była o wiele większa, bo członkowie tej kompanii zmieniali się na różnych posiedzeniach. Że pijatyki odgrywały ważną rolę na zgromadzeniach tego towarzystwa, stwierdza zresztą sama jego nazwa „*Bractwo wrogów wstrzemięźliwości*”. Przewodniczącym był sam król, który nosił tytuł „Patrona” bractwa. Stowarzyszenie to zwało się także „Okrągłym Stołem”, po niemiecku „Confidentztisch”, lub „Confidentztafel”. Te ostatnie nazwy świadczą, iż otaczano się pewnego rodzaju tajemniczością - jak zobaczymy, nie bez powodu.

Na początku 1728 r. nastąpiło powiększenie grona zaufanych i wtajemniczonych, a to z okazji przybycia do Drezna króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I, organizatora pruskiego państwa i pruskiej armii. Przybył więc w odwiedziny do Augusta „Mocnego” pruski „Król-Kapral”. Przyjechał ze swym synem, Frycem, późniejszym Fryderykiem „Wielkim”, jak go nazwała prusko-niemiecka, i bezkrytyczna pozaniemiecka historiografia. Goście zamieszkali w tym samym pałacu, po którego podziemiach oprowadzał naszego Autora uprzejmy drezdeński kupiec. Pałac ten nazwano później „kurlandzkim” od księcia saskiego, a królewicza polskiego Karola, czasowo księcia kurlandzkiego. Oficjalnym celem wizyty była ratyfikacja traktatu przyjaźni prusko-saskiej. Obok poufnie prowadzonych negocjacji spędzali obaj monarchowie i ich dwory także czas na balach i innych rozrywkach. Wtedy to „Mocny” August zaprosił pruskiego władcę do swego „okrągłego stołu” i wszedł z nim w taką zażyłość, że pozwolił mu założyć w Berlinie filię swego pijackiego stowarzyszenia i wydał mu w tej materii formalny akt erekcyjny. Już 17 marca tegoż roku 1728 zawiózł ten dokument do Berlina kapitan saski, Poppelmann, przywożąc też jako najcenniejszy prezent okrągły stół, wykonany ściśle na wzór drezdeńskiego, aby szlachetna filia berlińska miała przy czym swe „posiedzenia” odbywać. Jako głowa berlińskiego oddziału „Bractwa” nosił król pruski tytuł „Kompatrona” i miał prawo mianować członków tego oddziału.

Według badań K. M. Morawskiego Bractwo było towarzystwem masonskim, a zajmowało się także sprawami politycznymi, którym nadawało kierunek antykatolicki.

II. Zamiłowanie do okultyzmu w całej Europie, a zwłaszcza w Niemczech i innych krajach protestanckich

Wiek XVI i XVII to epoka, kiedy zamiłowanie do okultyzmu szerzyło się w całej Europie. Z tem łączyło się też uprawianie astrologii i alchemii, które to gałęzie „wiedzy tajnej” dały później, co prawda początek tak poważnym naukom jak astronomia i chemia, ale wówczas” ... nie tylko czystą wiedzę miały na celu. Warto też zwrócić uwagę na okoliczność, że w średniowieczu zajmowali się temi sprawami tylko nieliczni uczeni, podczas gdy w XVI i XVII w. poczęły się tem parać osoby na najwyższych stanowiskach, a nawet monarchowie. Myślę że nie od rzeczy będzie uwaga,

że wielkie zainteresowanie się alchemią ze strony monarchów i polityków tej epoki było w związku z dewaluacją złota i srebra, która wynikała, z nadmiernego napływu tych metali po odkryciu Ameryki, tudzież z olbrzymim ich zapotrzebowaniem przez rządy na liczne w tej epoce wojny i coraz liczniejsze wojska. Niski stan nauk przyrodniczych sprzyjał wierze w rojenia alchemiczne. Każdy władca pragnął zdobyć jak najwięcej złota, każdy chciał wiedzieć, czy jego plany polityczne ziszcą się, to też otaczali się alchemikami i astrologami. Nie dziwnym się więc, że parał się alchemią nawet tak gorliwy katolik, jak nasz Zygmunt III, który marzył wciąż o odzyskaniu tronu szwedzkiego, a wiedział że od sejmu polskiego nie uzyska pieniędzy na wojnę ze Szwecją. Sędziwoj czy inny alchemik, miał mu dostarczyć tych środków, których król nie mógł uzyskać od sejmu.

Jeżeli jednak katolicycy władcy rozumieli, że w tych badaniach, jak mniemano naukowych, istnieć musi pewna granica, a to, zwłaszcza w czasach potrydenckich, zakreślona dogmatami katolickimi to protestanci na granice te nie zważali wcale. Stąd też “tajna wiedza” w krajach protestanckich schodziła już wyraźnie na bezdroża antyreligijne, okultystyczne, zahaczała i to wyraźnie, o żydowską Kabałę a nawet tu i ówdzie o satanizm. Podniecona przez reformację nienawiść do katolicyzmu popychała okultystów protestanckich do szukania sposobów, aby zgnębić Kościół, papieństwo i państwa katolickie.

III. Rola, dynastii Wettynów, w sprawach kościelno-politycznych

Saska dynastia Wettynów zajmowała się szczególnie wiedzą tajną. Ta właśnie dynastia wodziła przez długi czas rej w całym ruchu protestanckim. Wszak pierwszym protektorem Lutra był elektor saski Fryderyk Mądry a jego brat i późniejszy następca Jan, pozwolił Lutrowi zaprowadzić reformację w swoich ziemiach i był naczelnikiem związku szmalkaldzkiego, pierwszej politycznej organizacji protestantów. Stanowisko to objął po nim jego syn, Jan Fryderyk. Z bocznej linii Wettynów pochodził ks. Maurycy, który zrazu zdradził elektora, gdy ten zbuntował się przeciw cesarzowi Karolowi V i sam otrzymał elektorstwo, ale następnie zdradził i cesarza, który ostatecznie musiał zgodzić się na zawarcie korzystnego dla protestantów pokoju religijnego w Augsburgu. Późniejsi elektorowie, potomkowie Maurycego, dbali o pełny skarb, co ich zbliżyło do alchemików. Takim był August I, który pozostawał w stosunkach z głośnym rabinem-wróżbitą Mardochajem i sam oddawał się wróżbiarstwu. Alchemią i różnemi gałęziami wiedzy tajnej zajmowali się też Chrystian I, a zwłaszcza Chrystian II, który z chciwości na złoto dopuścił się głośnego w owych czasach gwałtu na osobie szkockiego alchemika Setona. Przyjąwszy go zrazu gościnnie, kazał go potem uwięzić i torturować, aby mu wydrzeć tajemnicę wyrobu złota. Dopiero polski alchemik, Sędziwoj, pracujący przez dłuższy czas na dworze Zygmunta III, zdołał później Setona podstępem uwolnić.

IV. Mistyk protestancki Grebner i jego dzieło

Zamiłowania alchemiczne Wettynów łączyły się z innymi jeszcze sprawami. P. Morawski zwraca uwagę, że wspomniany elektor August I, był w ścisłych stosunkach z saskim mistykiem protestanckim, Grebnerem, który mu ofiarował swe dziwaczne dzieło łacińskie pt. “Sericum mundi filum” [Jedwabna nić świata] które później w drugim wydaniu, dedykował wnukowi Augusta I, wspomnianemu wyżej Chrystianowi II. Jak z treści tej książki wynika, oddawali się Wettynowie także rojeniom okultystycznym i ambitnym planom politycznym. W książce tej, znajduje się następujące znamienne “proroctwo” Grebnera: “Dzielne, wojownicze nasienie Ruty saskiej, (ty) wraz z księciem anhalckim, brandenburskim, palatyńskim, heskim, brunszwickim, luneburskim ... wyzeniesz papieża, cesarza i pozostałych dynastów papistycznych z ich siedzib”. Książka ta powstała w roku 1572, a bodziec bezpośredni do jej napisania dało autorowi pojawienie się tegoż roku komety, co podnieciło ówczesnych astrologów i wywołało panikę wśród ludności. W drugim wydaniu tej książki, dedykowanemu Chrystianowi II, jest już wyraźne “proroctwo”, że ten książę zostanie cesarzem niemieckim, że po nim nastąpi cesarz August, który “rozszerzy granice Europy”, a po tym August Wielki, największy ze wszystkich cesarzy, za którego przyjdzie ponownie na świat Zbawiciel...

Znamienne że podczas gdy Wettynom przepowiadał Grebner tak świetną przyszłość, to Polsce prorokował los jak najgorszy - jeżeli Polacy nie wybiorą królem takiego Polaka, lub Niemca, którego im narzucą sąsiednie Prusy i protestanci niemieccy. Z sensu wynika, że ten ewentualny “Piast” musiałby być protestantem. Gdyby zaś Polacy kogo innego wybrali, wynikną z tego wojny, do których wmiecha się Karol - król szwedzki, i wyśle niemałe posiłki” przeciw “Antychrystowej, papieżnickiej kohorcie polskiej”. Następuje zapowiedź, że Polska utraci znaczne ziemie, jak Inflanty, Prusy Królewskie, pogranicze od strony Brandenburgii i Śląska, tudzież “wszystkie miasta, używające języka niemieckiego”. Wreszcie znajdujemy w tej książce apostrofę do panującego wtedy Zygmunta III: “Zygmuncie! Królestwo twoje przypadnie jako łup rabusiom wielu”. Wieszczyk sasko-protestancki wietrzył więc rozbiory Polski! Czy ten pomysł wyszedł z własnej jego głowy czy też raczej leżał się już po głowach innych, którzy kazali mu tak prorokować?

V. Stosunki kościelno-polityczne w Niemczech. Towarzystwa masońskie w epoce wojny trzydziestoletniej.

Wspomniany Chrystian I, syn Augusta I, odegrał ważną rolę w dziejach reformacji, gdyż założył w roku 1591 “Unię”, głośny związek niemieckich protestantów, którego czysto polityczne tendencje zwracały się przeciw katolickiemu cesarstwu, a kościelno-polityczne dążyły do zgniecenia katolicyzmu w Rzeszy. Gdy zaś katolicycy książęta, wobec nieudolności panującego wówczas cesarza - Rudolfa II, odpowiedzieli na to przez utworzenie katolickiej “Ligi”, zapanowała w

Niemczech atmosfera niepokoju, zapowiadająca bliski wybuch nieuniknionej rozprawy orężnej między obu obozami, która też w 27 lat potem wybuchła, jako wojna trzydziestoletnia, wciągając w wir wypadków przeważną część Europy.

Na ten okres wrzenia w Niemczech przypada założenie tzw. “Zakonu Palmowego” zwanego też “Stowarzyszeniem Owocodajnym” [Fruchtbringende Gesellschaft]. “Zakon” ten, a raczej klub, powstał na zamku Hornstein pod Wajmaren w roku 1617, a więc na rok przed wybuchem wojny trzydziestoletniej. Równocześnie powstał “siostrzany”, bo dla kobiet przeznaczony, odłam tego towarzystwa, zwany “Zakonem Złotej Palmy”, czyli z francuska - “La noble Academie des Loyales”. Do klubów tych przyjmowano tylko osoby z najwyższych sfer społecznych, a prezydentem był zawsze jeden z książąt panujących. Założyło ten klub trzech książąt z linii wajmarskiej, ale główna inicjatywa wyszła od Ludwika, księcia Anhalt-Kothen, który za młodu należał do znanych nam klubów florenckich.

CDN

Autor: *Jan Friedberg***Przypisy w oryginale:**Za: <http://www.bibula.com/?p=54280>
